

## ROZESŁANIE EWANGELIZACYJNE NEOKATECHUMENAT LIPIEC 2017

### Moje świadectwo

Był marzec lub kwiecień 2017. Parafia Matki Bożej Różańcowej w Lublinie, przy ul. Bursztynowej – Sanktuarium Matki Bożej Łatyczowskiej. Mieliśmy katechezę na Wielki Post 2017. Głosił Tomek – nasz główny katechista z neokatechumenatu na Lublin. Pod sam koniec katechezy, ogłosił szczególne zaproszenie – jak się wyraził - dla wszystkich chętnych katechumenów, czyli członków Wspólnot Neokatechumenalnych. Zaproszenie na szczególną konwiwencję, która miała się odbyć w Puławach, w połowie lipca 2017. Konwiwencja dla tych którzy chcieliby być rozesłanymi po dwóch i głosić Ewangelię Zbawienia, do różnych stron w Polsce i poza jej granice. Tak jak apostołowie byli rozesłani przez Jezusa: dwunastu i siedemdziesięciu dwóch - po dwóch. Bez pieniędzy, jedzenia i picia tylko "w sandałach i wierzchnim okryciu", bez żadnych zabezpieczeń, jedynie z brewiarzem i Pismem Świętym w rękę. Zgłosiłem się – podniosłem rękę, jak wielu innych zgromadzonych w kościele, na tej katechezie. Taki odruch bezwarunkowy – jakby ktoś za mnie podniósł rękę. Ale wtedy bardzo chciałem podnieść rękę i bardzo chciałem być posłanym jak apostołowie. Bez analizowania i zastanawiania się. I czułem wielką radość. Że coś się zacznie, że będzie się działo.

Jakby podświadomie czułem, wiedziałem, że jest w tym Duch święty, że Pan Jezus się objawi, że będzie przechodził, będzie tak blisko mnie, nas, tych wydarzeń, które nastąpią – tak blisko, jak nigdy wcześniej nie mogłem tego odczuwać. Z upływem czasu zaczęły przychodzić wątpliwości, obawy, lęki, nawet strach. Nie mówiłem o tym wydarzeniu zbyt wielu osobom, ale najbliższemu powiedziałem. Byli także pełni obaw, ale widziałem w ich oczach pytanie: Czy na prawdę to się dzieje, czy Bóg tak może działać czy to rzeczywiście Bóg działa? Mówili: Przecież jest teraz niebezpiecznie lepiej nie ryzykować. Ale jakby coś im mówiło zobaczmy, zaufajmy.

Miałem już nawet postanowienie, że odczekam jakiś czas i jak nikt się nie odezwie, wycofam się. Z jednej strony trzymałem się tego postanowienia, ale z drugiej jakbym słyszał głos: „zaufaj mi, Ja będę tam z tobą, pójdź za mną, nie obawiaj się, nie lękaj się”. I zacząłem się modlić. Poddawać się woli Bożej. Oddawać moje obawy i wątpliwości Bogu. Niech się dzieje wola Twoja, nie moja. Ja mówię Ci tak, a Ty mnie prowadź. Nie wiedziałem, czy dostanę urlop, czy nie wypadnie mi coś w rodzinie, co będzie przeszkodą. Lęki, obawy nieodłącznie zaczęły mi towarzyszyć, ale po modlitwie nabierałem odwagi i siły i coraz większego przekonania, że to jest wołanie Boga. Jak odzywali się katechiści (Stanisław) i odpowiedzialny mojej wspólnoty (Michał) i prosili o moje dane, aby potwierdzić gotowość – pełen lęku potwierdziłem. Miałem amplitudę odczuć: od wielkiej radości do wielkiej niepewności. Ale modliłem się. Oddawałem i powierzałem to Bogu. Wspólnoty, bracia, modlili się już za to dzieło. Podczas liturgii, Eucharystii i jak wierzę - indywidualnie. Te modlitwy bardzo wzmacniały i pomagały. Bez modlitw nie wydarzyłoby się to co się wydarzyło. Nadszedł lipiec, wsiedliśmy w samochód i pojechaliśmy. Maciej – prezbiter wspólnoty moich katechistów i mój katechista, Stanisław odpowiedzialny wspólnoty moich katechistów i mój katechista, oraz Piotr mój katechista. Drogę z Lublina do Puław przebyliśmy, odmawiając różaniec i powierzając się w opiekę Maryi. Na miejsce dojechaliśmy pierwsi. Byliśmy pierwsi w całej hali sportowej „Mosir”, w Puławach – tam miała się odbywać konwiwencja. Najpierw przydział do pokojów w hotelach. Maciej osobno jako prezbiter. Pozostali: Stanisław, Piotr i Ja razem w jednym pokoju hotelowym na obrzeżu Puław.

Przez całą konwiencję modliliśmy się laudesami, psalmami z Liturgii Godzin. Były też katechezy głoszone przez Stefano i Silvanę. Bóg przygotował dla nas wszystkich wspaniałe słowo. Bardzo nas wzmacniało i wypełniło pokojem. Poprzez słowo z Biblii oraz katechezy głoszone przez Silvanę i Stefano nabieraliśmy siły i mocy. Szczególnie zapamiętałem słowa wypowiedziane przez Silvanę. Nie lękajcie się. Bóg to wszystko ogarnia. Bóg to prowadzi i przygotował dla was całą drogę. Bóg będzie z wami przez cały ten czas. Będzie trzymał nad wami swoją prawicę. Silvana mówiła jak kochana matka, z wielką czułością, wzruszeniem i miłością. Jak matka posyłająca swoje dzieci, błogosławiąca i mówiąca: wszystko będzie dobrze wszyscy wróćcie cali i zdrowi. Stefano opowiadał jak on był posłany 30 lat temu. Jak spał gdzieś na jakichś kartonach i jadł kukurydzę z pola we Włoszech. Mówił: jak będziecie w drodze, proście, a będzie wam dane. Proście o jedzenie, wodę, noclegi. Proście, a będzie wam dane. Jak was przyjmą do jakiegoś domu zatrzymajcie się tam, a jak was odtrącą idźcie dalej. Bądźcie przygotowani na odtrącenie. Ale módlcie się módlcie się przez cały czas. Cały czas się módlcie. Jak jesteście sami i jak spotkacie kogoś. Módlcie się za was i za ludzi, których spotkacie, którzy będą postawieni na waszej drodze. Bądźcie ostrożni z uzdrowieniami. Aby nie wpędziło to was w pychę. I ta ciągła modlitwa miała stać się dla nas drogowskazem. Pożywieniem, zaspokojeniem pragnienia, dachem nad głową, noclegiem, schronieniem. Ciągła modlitwa. I Kaczmarek, drugi odpowiedzialny za Lublin Katechista, zachęcał braci, którzy pozostają w domach, aby modlili się za tych którzy są rozesłani, za całą misję. Jak mogą, niech łączą się w grupy modlitewne. Nie tylko więc modlitwa nas rozsyłanych – których było ok 900 osób. Braci: osób świeckich i prebiterów. Ale modlitwa wszystkich wspólnot i wszystkich braci w Polsce i na całym świecie. Bo takie rozestania miały miejsce w większości krajów świata, gdzie powołany jest Neokatechumenat. Samych prebiterów było ponad stu.

Kilka dni przed terminem dzwoniłem do Tomka. (Jeden z trzech głównych odpowiedzialnych Katechistów za Drogę Neokatechumenalną w Lublinie). Zapytałem o termin rozpoczęcia konwienencji w Puławach, oraz co należy zabrać ze sobą. Podał termin sobota 22.07.2017.

Spytał:

- Co potrzebujesz?

I odpowiedział:

- Pismo święte i brewiarz.

Zrozumiałem: Bóg nie wymaga abyś był za bardzo obciążony. Reszta była w domyśle, aby nie brać za dużo. Po co to wszystko dźwigać przez cały czas. Zabrać jak najmniej. „Nie bierzcie ze sobą trzosa i pieniędzy”. Nie wiedziałem, że będzie można coś zostawić w hotelu, w Puławach, gdy już wyruszymy w Bożą Podróż. Zabrałem więc najpotrzebniejsze kosmetyki, bieliznę, kurtkę przeciwdeszczową (tę ze Światowych Dni Młodzieży w Krakowie - niebieską). Wszystko zmieściłem w średni plecak. Ten po Julii. Kupiony, jak była jeszcze w szkole podstawowej. Mam go jeszcze. Bardzo praktyczny i bardzo go lubię, bo jest taki w sam raz. Nie za duży i nie za mały. Chociaż trochę wysłużony i niektóre zamki od kieszeni zepsute. Suwak dosuwam do środka, więc kieszeń zamknięta jest w punkcie: środek, a po obydwu stronach suwaka „wieje”. Może coś się wysypać. No to może zaszyć kieszeń? Tak zrobiłem. Jak się okazało później, potrzebowałem jednak kieszeni i musiałem ją lekko odpruć. Tu wyszło moje sknerstwo, chęć zaoszczędzenia i moja cecha: " Wyrzucę coś jak już na prawdę się nie nadaje do użycia". Buty też wziąłem tylko jedne. Kiepskiej jakości adidas. Trochę wysłużone. "Przecież Pan Bóg zadba o moje buty" - na prawdę tak sobie pomyślałem. Słyszałem tę historię z butami. W tej chwili zastanawiam się czy

usłyszałem ją na konwiwencji przed rozestaniem w Puławach, czy na innej konwiwencji. „Pierwszego Skrutinium”, aby wszystko oddać Bogu. Ktoś wybrał się na ewangelizację i rozpadły mu się buty. Bóg podarował mu (poprzez gospodarza, u którego nocował), buty nie byle jakie, ale "adidasy markowe, dokładnie w jego wymiarze”. Tę opowieść usłyszałem chyba, jednak w Puławach. Piszę o tym, bo zastanawiam się, czy postanowiłem przekornie sprawdzić Pana Boga, czy rodziła się we mnie wiara. Chyba trochę tak i trochę tak. Musisz w tym wziąć udział. Zobaczysz na własne oczy jak Pan Bóg działa. Taka ciekawość Boga i pragnienie dotknięcia Go. Jedne myśli mówią jesteś naiwny i szalony, a drugie mówią: przecież o tym jest napisane w Piśmie Świętym, to musi działać!!! I bardzo często pytam sam siebie: skąd u mnie taka wiara. Wiele razy myśli mówiły mi: uwierz, zaufaj, Jestem z tobą. Na początku rządzij, później coraz natarczywiej.

Umówiliśmy się na wspólny dojazd, z Stanisławem, moim katechistą, odpowiedzialnym w ekipie katechistów, Piotrem i Maćkiem - prezbiterem. Wszyscy trzej są moimi katechistami. Co za zaszczyt. Piotr nawet często powtarzał: "Jurek jak zostałeś doceniony - jedyny z Parafii Matki Bożej Różańcowej". Po drodze, jadąc samochodem do Puław, zdążyliśmy odmówić różaniec. Przyjechaliśmy pod halę „Mosir” w Puławach jako pierwsi. Byli już bracia organizatorzy. Weszliśmy na halę. Pusta. Nikogo. Cisza. Zrobiłem kilka zdjęć. Mogliśmy zająć najdogodniejsze miejsca. Ale nie zrobiliśmy tego. Jeszcze zdążymy. Wyszliśmy na zewnątrz. Usiedliśmy na ławce, porozmawialiśmy trochę. Zaczęli pojawiać się znajomi z różnych wspólnot. Wszyscy z Neokatechumenatu oczywiście. To był plan i "projekt" Neokatechumenatu. Z różnych wspólnot to znaczy z różnych parafii i miejscowości i miast. Jak ponownie weszliśmy do hali, wszystkie, dobre miejsca były zajęte. Jedynie na górze pozostały wolne. Trochę żałowałem, ale tak wyszło. I zaczęliśmy. Pojawił się Stefano i Silvana. Najpierw modlitwa. Chyba Laudesy, brewiarz, Jutrznia. Fragmenty pisma św. z wprowadzeniami.

**3.** Silvana. Zrobiła na mnie duże wrażenie. Czuła, wrażliwa, opiekuńcza. Pełna wiary. Jak matka, troszcząca się o swoje dzieci. Wiedziała, dokąd będziemy posłani. Gdzie trafimy. Jak tam będzie. Mówiła: nie bójcie się nie obawiajcie się. Pan Bóg już był w tych miejscach, do których zmierzacie. Już wszystko tam przygotował. Przygotował te miejsca i tych ludzi, których spotkacie. Wszystko na was czeka. Nie będzie żadnych niespodzianek. Ta droga jest już dla was przygotowana. Pan Bóg ją przygotował i będzie z wami przez cały czas. Będzie was prowadził za rękę. Będzie z wami. Będziecie bezpieczni. Pod Jego ochroną, pod Jego parasolem. Pod Jego baczeniem. Były niespodzianki i zaskoczenia. Te najwspanialsze. Te dobre. Najlepsze. Mieliliśmy się wkrótce przekonać o Jego hojności i miłości do nas. O tym jak wielkie dary przygotował dla nas. Pan Bóg chce nas obdarowywać, dawać nam w obfitości, wszystko, czego nam potrzeba. „Nie troszczcie się o to co będziecie jeść, co będziecie pić, w co będziecie ubrani, gdzie będziecie spać. Zaufajcie Mi. Idźcie za mną, a Ja was wszędzie poprowadzę i przez wszystko przeprowadzę”. Czytali fragmenty z Pisma św. i wprowadzali do nich. objaśniali słowo Boże, najpierw wprowadzając do danego fragmentu Pisma św., następnie czytali dany fragment, a potem tłumaczyli. Katechezy powoli otwierały nam oczy i uszy, tak jakbyśmy stopniowo wprowadzani byli i zapraszani do pięknej podróży. To do czego byliśmy przygotowywani, opisane było w Piśmie św.:

**Pan Jezus posyła 12: Ewangelia wg św. Łukasza**

### **Pierwsze wysłanie Apostołów**

**9** 1 Wtedy zwołał Dwunastu, dał im moc i władzę nad wszystkimi złymi duchami i władzę leczenia chorób. 2 I wysłał ich, aby głosili królestwo Boże i uzdrawiali chorych. 3 Mówił do nich: «Nie bierzcie nic

na drogę: ani laski, ani torby podróżnej, ani chleba, ani pieniędzy; nie miejcie też po dwie suknie! 4 Gdy do jakiego domu wejdziecie, tam pozostaniecie i stamtąd będziecie wychodzić. 5 Jeśli was gdzie nie przyjmą, wyjdźcie z tego miasta i strząśnijcie proch z nóg waszych na świadectwo przeciwko nim!» 6 Wyszli więc i chodzili po wsiach, głosząc Ewangelię i uzdrawiając wszędzie. (ŁK9, 1-6)

A w innym miejscu: **Pan Jezus posyła 72: Ewangelia wg św. Łukasza**  
**Wysłanie siedemdziesięciu dwóch**

**10 1** Następnie wyznaczył Pan jeszcze innych siedemdziesięciu dwóch i wysłał ich po dwóch przed sobą do każdego miasta i miejscowości, dokąd sam przyść zamierzał.

**2** Powiedział też do nich: «Żniwo wprawdzie wielkie, ale robotników mało; proście więc Pana żniwa, żeby wyprawił robotników na swoje żniwo. **3** Idźcie, oto was posyłam jak owce między wilki. **4** Nie noście z sobą trzosa ani torby, ani sandałów; i nikogo w drodze nie pozdrawiajcie! **5** Gdy do jakiego domu wejdziecie, najpierw mówcie: Pokój temu domowi! **6** Jeśli tam mieszka człowiek godny pokoju, wasz pokój spocznie na nim; jeśli nie, powróci do was. **7** W tym samym domu zostańcie, jedząc i pijąc, co mają: bo zasługuje robotnik na swoją zapłatę. Nie przechodźcie z domu do domu. **8** Jeśli do jakiego miasta wejdziecie i przyjmą was, jedzcie, co wam podadzą; **9** uzdrawiajcie chorych, którzy tam są, i mówcie im: Przybliżyło się do was królestwo Boże. **10** Lecz jeśli do jakiego miasta wejdziecie, a nie przyjmą was, wyjdźcie na jego ulice i powiedzcie: **11** Nawet proch, który z waszego miasta przyłgnął nam do nóg, strząsamy wam. **Wszakże to wieście, że bliskie jest królestwo Boże. 12** Powiadam wam: Sodomie lżej będzie w ów dzień niż temu miastu. (ŁK 10, 1-12)

Po dwóch, bez trzosa i pieniędzy. Idźcie i głóście słowo Boże. Idźcie i głóście Mnie. Tak przez kilka dni. Modlitwa, katechezy, brewiarz, Laudesy. Każdego dnia było losowanie par. Po dwóch lub po dwie. Aby rozdzielić blisko 900 osób, potrzeba było sporo czasu. Kilka dni. W pierwszej kolejności rozlosowano - rozdzielono kleryków. Organizatorzy zakładali, że oni najbardziej poradzą sobie z barierami językowymi. Wyglądało to tak, jakby celowo przeznaczono kleryków i niektórych prezbiterów do rozesłania za granicę. Do Niemiec, na Litwę Łotwę, Białoruś. Do Hamburga np. wylosowano ks. Jarka, ze wspólnoty "pierwszej królewskiej" z Lublina. Jak później mówił, był właśnie tam w Hamburgu na misji przez kilka lat. Czy to był przypadek? Nie wiem. Jak dla tych kleryków i prezbiterów wyglądało tak jakby celowo przygotowano im, te właśnie miejscowości i rejony do ewangelizacji, tak dla wszystkich pozostałych było prawdziwe losowanie. Przy czym, podkreślam, nie wiem "na pewno" jak to było z tymi klerykami. Słuchałem i czekałem. Miałem pewne obawy, że wylosują mnie za granicę. Chociaż z drugiej strony chciałem, aby tak się stało. Przez cały czas miałem momenty radości, uniesienia, ale i momenty obaw. Jak okazało się, że zagranica została rozlosowana, nieco odetchnąłem z ulgą, ale było mi także trochę żal. I myślałem sobie: Oby to było jakieś ciekawe miejsce. Jakieś szczególne. Napięcie rośnie. Losowano kolejne miasta, Diecezje, kolejne osoby. Długo nie było znajomych i w końcu się zaczęły losowania znajomych. Stanisław został wylosowany do Malborka. Piotr do Zielonej Góry. Mówił wcześniej: chciałbym być wylosowany z jakimś księdzem. I trafił na księdza prezbitera z Lublina. Jak się nie mylę z Bronowic. Ucieszył się. Mówił: moje modlitwy zostały wysłuchane. Maciej - prezbiter trafił do Wrocławia. Później inni znajomi. Do Krakowa - Zbigniew, Poznania - Tomek, Płocka - Ela. Janek z „Poczekajki” do Częstochowy. „Poczekajka” to taka popularna nazwa kościoła: Parafi Niepokalanego Serca Maryi i św. Franciszka w Lublinie i miejsca, w którym ten kościół się znajduje. Później dowiedziałem się o innych z Lublina, gdzie każdy z nich trafił: do Zakopanego – Marek; Łuków (żona Zbigniewa i jeszcze inna siostra znajoma). Długo nie losowali mnie. Już zacząłem się obawiać, że może moje dane zaginęły. Aż w końcu i

mnie wylosowano, w przedostatni dzień. Stefano czyta: Krynica Górską!!! Jerzy z Lublina i Mariusz, z Malborka. Pełne zaskoczenie i radość. Wielka, ogromna. Tak kocham góry. Jakby Bóg mówił: Daję ci wspaniałe wakacje. Nie ważne, że jest niepewność, lęk. Krynica Górską. Byłem tam na feriach zimowych jeszcze w czasach liceum. Dokładnie w Tyliczu pod Krynica. To był prawdziwy znak Boży dla mnie. Byłem wypełniony radością i dumą. Pan Bóg daje w obfitości. Chciałem piękną okolicę i otrzymałem. Dzięki Ci Boże!!! Tak długo nie byłem na żadnej wycieczce, takiej dla relaksu i odpoczynku, relaksu. Czułem się doceniony - chociaż nie zasługiwałem, nagrodzony, wybrany specjalnie. Na prawdę byłem zadowolony. Od razu przestałem informację o losowaniu do Kacpra i Julii – moich dzieci, oraz do Rafała, odpowiedzialnego naszej wspólnoty. Aby przekazał braciom. Niech wiedzą, że to dzieje się na prawdę. Obecność Tomka Bojarskiego i jego żony było dla mnie bardzo budujące. Był to na prawdę mocny znak. Mocne świadectwo. Nie są młodzi. Po sześćdziesiątce sporo. Ze swoimi dolegliwościami zdrowotnymi. Jak ufają Bogu. Jak idą za nim. Jak się Go trzymają. Później opowiem, jakich wielkich rzeczy dokonywał Bóg dla nich, podczas "rozesłania". Mam nadzieję, że uda mi się spisać większość świadectw, które usłyszałem. Mateusza słyszałem także podczas "głoszenia na placu". Tomek i Ela Bojarscy, nasi główni katechiści. Jakby mówili: „idźcie tam, gdzie was posyłamy, ale i my tam idziemy. Wierzymy, że tam, gdzie was posyłamy, to właściwie Bóg was posyła i nas też posyła”. Ela później mówiła: jak 30 lat temu usłyszałam świadectwa braci, posłanych i świadectwo mojego męża Tomka, podjęłam pragnienie, że następnym razem i ja muszę. Muszę. I była. W czasie konwencji wszystkie 900 osób rozlokowano we wszystkich hotelach i schroniskach w Puławach. Sam się zdziwiłem, że tak dużo ich jest. Ja, Piotr i Stanisław byliśmy razem w jednym hotelu na skraju Puław, w kierunku Lublina. W tym samym hotelu byli też Błaszczakowie. Hotel był luksusowy. Przepyszne jedzenie. Tych naleśników na śniadanie nie zapomnę. A były tylko jednym z dań. Był "szwedzki stół" i mnóstwo było rzeczy do wyboru. Trudno było zdecydować co wybrać. Niemożliwe było spróbować wszystkich propozycji. Soki do wyboru różne. Czułem się po królewsku. Obiady i kolacje także były wykwintne, ale odczuwałem pewien niedosyt ilościowy. Celowo o tym piszę. Pragnę odtworzyć jak najwięcej faktów i szczegółów. Wszystko ma jakieś znaczenie. Chociaż nie zauważam jeszcze znaczeń wszystkiego. To tak jakby otworzyć pismo św. Czytam i nie od razu zauważam jak jakiś szczegół jest ważny. Co on mówi. Może jak ktoś to będzie czytał zauważy "to coś" w tym opisie i mi wytłumaczy. A w piśmie św, każda litera, każdy przecinek jest ważny i ma znaczenie. Maciej - prezbiter trafił do jakiegoś schroniska. Był przydzielony, jak wszyscy księża i prezbiterzy do Hotelu "Izabela", ale ktoś, coś pomylił i przenieśli go do schroniska. Podczas rozmów przy posiłkach, wyczuwało się pewne napięcie. Podniecenie, ale i obawy. Wstawaliśmy rano i mówiliśmy "co ja tu właściwie robię". Sam z własnej, nieprzymuszonej woli idę w nieznaną. Nie wiadomo co mnie tam czeka. Julia jak dowiedziała się, gdzie się wybieram mówiła: „Tato, nie jedź, boję się o ciebie. Teraz jest strasznie, czasy są niebezpieczne”. I właściwie sam byłem pełen obaw. Ale też wiedziałem jakby środkiem we mnie słyszałem mocny, zdecydowany głos "nie lękaj się". Jakbym słyszał go swoją świadomością. Nie uszami, ale tak jakby ten głos był wszędzie. Nie tylko w środku. Na zewnątrz. Słyszalny tylko dla mnie. I ten głos mnie wspierał i popychał i dodawał odwagi. Mateusz, z pierwszej wspólnoty Różańcowej mówił: "masz dużo odwagi". A ja wiedziałem, że nie mam odwagi. Jest coś co mnie ciągnie i to jest bardzo, bardzo silne. Bo to jest coś cudownego. Słyszałem rozmowę Stanisława z jego najmłodszą córką Agnieszką. Mówiła szlochając, „Tato, gdzie ty jedziesz, nie jedź tam, bo cię pobiją i zabiją” ... I Stanisław nie wiedział co jej odpowiedzieć. Piotr przejął słuchawkę i ją pocieszał i tłumaczył, że jesteśmy pod opieką Pana Boga, że Bóg będzie się o nas troszczył i nie pozwoli, aby się nam coś stało. Stefano opowiadał jak było podczas pierwszego rozesłania, 30 lat temu. Ale wtedy rozesłanie było tylko we Włoszech. Teraz rozesłanie obejmowało praktycznie cały świat, tam, gdzie działa droga

neokatechumenalna. Miałem później możliwość słuchania świadectwa brata, który był w Stanach Zjednoczonych na rozesłaniu. Rozesłanie z niektórych krajów tak jak np. w Polsce rozszerzało się nieco poza granice, do krajów sąsiednich. Stefano opowiadał, jak podjadali kukurydzę z pola jakiegoś rolnika. I myślałem: "nieźle, się zapowiada, będziemy jedli jakiś agrest i szczaw z pola". Ale też mówił - za Jezusem: "Proście a będzie wam dane". A więc - pomyślałem nauka pokory. Zawsze trudno było mi prosić. Tak na prawdę od tamtego momentu zaczęła się u mnie nauka proszenia. Zacząłem się uczyć prosić. Prosić o pomoc. Proszę wprawdzie ludzi, ale wiem, że proszę Jezusa. Nie proszę o rzeczy zbędne, ale niezbędne. Nie o pieniądze, ale o wodę, jedzenie, nocleg, podwózkę, ubranie. I nauczyłem się przyjmować. Dary i pomoc. Pomoc przy przeprowadzce, transporcie mebli, pomoc na działce. Pomoc na sfinansowanie pielgrzymki do Rzymu. Na tę pielgrzymkę właściwie pojechałem za darmo. Tak jak mówi Pan Bóg w ks. Izajasza przychodźcie i kupujcie za darmo. Bierzcie za darmo. Dlaczego uganiacie się za rzeczami niepotrzebnymi i płacicie za nie. Kupujcie i bierzcie to co wam na prawdę potrzebne, za darmo.

**Księga Izajasza Pokarm dla biednych**

**55 1 O, wszyscy spragnieni, przyjdźcie do wody1,**

**przyjdźcie, choć nie macie pieniędzy!**

**Kupujcie i spożywajcie, <dalejże, kupujcie> bez pieniędzy**

**i bez płacenia za wino i mleko!**

**2 Czemu wydajecie pieniądze na to, co nie jest chlebem?**

**I waszą pracę - na to, co nie nasyci?**

**Słuchajcie Mnie, a jeść będziecie przysmaki**

**i dusza wasza zakosztuje tłustych potraw.**

**3 Nakłońcie wasze ucho i przyjdźcie do Mnie,**

**posłuchajcie Mnie, a dusza wasza żyć będzie.**

**(Iz 55, 1-3)**

**4.** Dobrze się stało, że Stefano powiedział za Jezusem: "Jak będziecie w potrzebie proście, a będzie wam dane". Wyobrażałem sobie wcześniej jak będzie wyglądało nasze postępowanie. Wyobraźnia podpowiadała, że raczej będziemy oczekiwać aż coś się stanie, aż coś się wydarzy, Będziemy np. maszerowali a nagle ktoś podejdzie i zapyta: „Nie potrzebujecie czasem noclegu? lub: „nie potrzeba wam czegoś do picia?” Zachęta Stefano bardzo pomogła. Mogliśmy pomóc Panu Bogu w Jego działaniach. Mogliśmy aktywnie współpracować z Panem Bogiem. Wiele razy musieliśmy prosić. Ale prosiliśmy. Bardzo trudno jest prosić. Ale z Jezusem łatwo. Szatan mówi; "nie da się". A Jezus mówi: "da się". I jak mogliśmy się wiele razy przekonać, z Jezusem można wszystko - jeżeli jest to zgodne z Jego wolą. Stefano mówił: "proście o jedzenie, o picie, o nocleg, o podwiezienie, o ubranie. Nie przyjmujcie pieniędzy. Ale inne dary przyjmujcie". Doświadczałem tego. Wiele razy wchodziłem do zagrody i wiedziałem "tu mi pomogą". Tu nas przyjmą. Ale Stefano mówił także: "będziecie odrzucani, bądźcie gotowi na odrzucenie.

Strząśnijcie wtedy pył z waszych butów". Były i takie chwile. Ale wiedziałem, że to było napisane w piśmie św. i te dobre rzeczy i te złe. Wszystkie się muszą wypełnić. Wszystkie się wypełniają w moim życiu. Nie można wyrwać kartki z pisma św. należy przyjmować i te dobre rzeczy i te bolesne. W ostatni dzień przed rozestaniem była msza św. celebrowana przez Biskupa Pomocniczego Diecezji Lubelskiej Mieczysława Cisko. Była to pieczęć Kościoła Świętego, na tym co głoszone było nam przez kilka dni i na to, co się będzie dalej działo. "Posyłam was jak owce między wilki", każdy z nas to przyjmował. W Eucharystii uczestniczyło ponad stu prezbiterów z Drogi Neokatechumenalnej. Całe prezbiterium było w bieli. Tu jest prawdziwy Kościół - pomyślałem. Kościół świadków, Kościół czynów, Kościół żywy – żyjący. Nie ujmując nic Kościołom parafialnym. Robiło to jednak niesamowite wrażenie. Dla takich chwil warto żyć. Ponad stu księży prezbiterów gotowych na trud, niepewność. Cierpienie. Gotowych pójść tam, gdzie Bóg poprowadzi i do tych, do których Bóg poprowadzi. To jest prawdziwa odpowiedź Bogu. Który mówi "idźcie na cały świat i głoscie, idźcie i nauczajcie"... I tych pozostałych 800 braci. Pozostawili domy, wygodne życie, zamiast urlopu z odpoczynkiem, urlop w wędrówce z Panem Bogiem. Czy trzeba nam większych świadectw wiary? Kościół jest i żyje. Na prawdę czułem to w swoim sercu, w swoim ciele i w swojej duszy. Byłem na prawdę szczęśliwy. Biskup Mieczysław udzielił nam błogosławieństwa. Brzmi to może jakoś górnolotnie, ale czułem się jakbym dostał skrzydeł. I końcowa Eucharystia rozestania, pod przewodnictwem lubelskiego biskupa pomocniczego, Mieczysława Cisko. Zakończona uroczystym błogosławieństwem biskupa nad całą misją i nad rozsyłanymi braćmi. To był mocny znak kościoła. Sygnał dla wątpiących, że w osobie Biskupa Mieczysława to Kościół – nasza matka i sam Bóg Ojciec posyła nas na tę misję i nas błogosławi.

Wieczorami odmawialiśmy różaniec pod drzwiami kościoła, gdyż kościół był już zamknięty. Spędzaliśmy też wieczory u zaprzyjaźnionych braci z Puław. Ich syn wylosowany został do Krakowa.

To był czas i miejsce, w którym na prawdę chciałem być. Zostałem przydzielony do Pary z Mariuszem z Malborka. Zawodowy żołnierz. Artylerzysta. Jak się okazało nieco osłabiony słuch poprzez wykonywany zawód. Jak sam mówił szczególnie nie słyszał jak ktoś mówił: "daj". Mieliśmy przez to kilka nieporozumień. Czasami czegoś nie dostyszał a czasami głośniejsze odezwał. Gdy nie dostyszał – nic nie odpowiadał na moje pytania odbierałem to jako lekceważenie, czasami, gdy odezwał się głośniejsze, wydawało mi się, że krzyczy na mnie. 10 lat młodszy ode mnie, ale na drodze neokatechumenalnej kilka lat dłużej. Był też katechistą i kilka etapów wyżej ode mnie. Tak jest na drodze neokatechumenalnej. Jak wszystko idzie dobrze, to wspólnota przechodzi co jakiś czas kolejne etapy wtajemniczenia wiary. Wszystkich etapów jest na około 30 lat. Jeżeli „Droga” idzie gorzej to etapy odbywają się rzadziej. I wtedy pomimo, że jest się na drodze długo, można mieć zaliczony tylko jeden etap. Na tym tle dochodziło między nami do pewnych zgrzytów. „Ty jeszcze tego nie przerabiałeś. Ci ty możesz o tym wiedzieć?” Często wchodziło mi to na ambicję. Wiem, że wszystko jest po coś i takie dobranie nas w parę miało jakiś Boży sens. Jak powiedziałem później, w czasie świadectw z rozestania: "skoczyłbym za nim w ogień". I chętnie bym się z nim spotkał i powspominał ten wspólnie przeżyty czas. Bo więcej było tych dobrych chwil. Warto, też przyrzeć się sytuacjom z pewnej perspektywy czasowej. Dać sobie czas na przemyślenia. Czasami potrzeba coś przemodlić, aby otworzyły się oczy i można było zauważyć ten istotny rdzeń.

Od odpowiedzialnych z Diecezji Tarnowskiej, otrzymaliśmy plan naszej ewangelizacji, wraz z mapą terenu, po którym mieliśmy się poruszać. Odpowiedzialni chcieli abyśmy odwiedzili ok 20 parafii. Rozpoczynając od Piwnicznej, mieliśmy odwiedzić po kolei: Kosarzyska, Łomnicę, Wierchomlę, Żegiestów, Milik, Złockie, Muszyna, Leluchów, Powroźnik, Tylicz, Krynica, Mochnaczka, Banica, Czarna, Berest, Ropa,

Barcice, Rytko, Głęboke. W sumie do przebycia ponad 200 km. W połowie przebyliśmy tę trasę pieszo, a druga połowę autostopem. Otrzymaliśmy także pieniądze na dotarcie do Piwnicznej oraz na powrót. Po dotarciu do Piwnicznej mieliśmy zatankować samochód, tak aby wystarczyło na powrót do Puław. Resztę pieniędzy mieliśmy wrzucić do skarbonki kościoła "na biednych". Jak się okazało, w tym samym kierunku wybierały się dwie siostry, które otrzymały sąsiedni rejon do ewangelizacji. Marzena była z Warszawy, Alina - nie pamiętam skąd. Marzena była krócej ode mnie na drodze. Alina, dłużej. Aktualnie przebywająca na misji we Francji. Z rodziną. Przyjechała ewangelizować do Polski z mężem, który także brał udział w rozestaniu. Wylosowany do innego terenu. Jakby było mało im we Francji. Tak Bóg daje siły. Ludzie odczuwają powołanie, siły i radość. Prawdziwą radość. Boża radość, która pobudza i popycha ich do wielkich rzeczy.

**5.** Przyszedł dzień wyjazdu z Puław. Ci, którzy jechali za granicę, w większości wyjechali dzień wcześniej. Dla osób udających się w różne miejsca w Polsce przez Warszawę, zostały zorganizowane chyba dwa autokary, które miały dowieźć ich do Warszawy. Dalej, każdy miał dotrzeć na miejsce na ogół koleją. Szczecin, Gdańsk, Poznań, Zielona Góra, Wrocław i wszystkie pobliskie im kierunki. Można było korzystać również z samochodu. Tak jak my, kilka osób jadących w tym samym kierunku, mogły jechać jednym samochodem. Nasza grupa wyruszyła z Puław ok 9,00. Ja i Mariusz, oraz Alina i Marzena. Po drodze odmówiliśmy Jutrznę i różaniec. Później każdy opowiedział coś o sobie. W ten sposób bardziej poznaliśmy się. Bo tak na prawdę nie znaliśmy się wcześniej. Nikt z nas nikogo wcześniej nie spotkał. Tak było przynajmniej w naszej czwórce. I taki był zamysł. Mogło się zdarzyć w jakichś parach, że ludzie spotkali się wcześniej lub nawet znali. Ale było to czysty przypadek losowy. Tak było w przypadku naszego Piotra i księdza z Bronowic. Stanisław miał za socjusza - partnera, chłopaka ze wspólnoty z Bronowic, z Lublina. Skład par był na ogół przypadkowy. Sześćdziesięciolatek z dwudziestolatkiem. Pięćdziesięciolatek z czterdziestolatkiem. Jak ja i Marek. Może w jakiś sposób ułożono pary, aby nie było w nich dwóch osób bardzo młodych. Ale nie jestem tego pewien. To są jedynie moje przypuszczenia. Ostatnie śniadanie zjedliśmy jeszcze w Puławach. Na drogę wziąłem jedynie butelkę 1,5 l wody. Pozostali podobnie. Niektórzy zabrali jakieś kanapki. Pieniądze, karty płatnicze, telefony miały zostać w Puławach albo powinny zostać w samochodzie lub w ostateczności winny być wyłączone. Była sugestia ze strony Stefano, aby jak najbardziej odciąć się od rzeczy, które ułatwiałyby kontakt z tym światem. Nie było jakichś kontroli, każdy miał podejść do tego w zgodzie z własnym sumieniem. Dojechaliśmy do Nowego Sącza. Siostry wysiadły przy jakimś kościele. Poczułem się nieswojo. Jak to, one tu zostają? Dwie kobiety. Na prawie tydzień. Bez pieniędzy i bagażu i mają sobie radzić? My z Mariuszem jakoś sobie poradzimy. Wiadomo faceci, ale one, kobiety, gdzie pójdą? Co zrobią? I "usłyszałem" głos: "uwierz i zaufaj". Nieco się uspokoiłem. Ale przysłała myśl: czy my sobie poradzimy? Co będzie? Jak będzie? Słońce świeciło niemiłosiernie. Zaczynałem być głodny. Wody zostało niewiele. Była, nie wiem dokładnie - 15,00 albo 16,00? W samochodzie klimatyzacja, ale jakoś tak nieprzyjemnie się zrobiło, taki nastrój rozstania, pustki. Jak zostawiasz kogoś bliskiego na nieznanym terenie. Nie pamiętam myśli jakie miałem w drodze do Piwnicznej. Nie wiem, czy były przyjemne czy nieprzyjemne. Jak dojechaliśmy, pomyślałem: „o kurczę to już tu”. Była walka. Piwniczna, rynek. Wysiedliśmy z samochodu. Telefon zostawiam. Resztki wody zabieram. Plecak biorę. W plecaku Biblia. Bielizna. Płaszcz nieprzemakalny, ten ze Świątowych Dni Młodzieży w Krakowie, niebieski. Podstawowe kosmetyki, mydło, pasta do zębów. Wszystko. Nie pamiętam, czy miałem jakiś sweter. Chyba ten cienki. Kłapanięcie drzwi samochodu. I wszystko odeszło. Cały strach, niepokój, niepewność. Teraz Boże jestem u Ciebie. Z Tobą. Pod Twoim parasolem i ochroną. Ty jesteś ze mną i mnie prowadzisz. Prowadź więc. Co robimy? Gdzie idziemy? Stefano mówił zaczynajcie od błogostawieństwa księdza Proboszcza. Idziemy więc na plebanię. Zamknięta. Patrzymy na tablicę



ogłoszeń. Msza będzie wieczorem. 19,00 (jak dobrze pamiętam). Patrzymy na kartkę. Tę od Odpowiedzialnych z Tarnowa, z planem naszej drogi. Następna miejsc – Kosarzyska, Parafia Matki Bożej Nieustającej Pomocy. To niedaleko. Ale pojedziemy jeszcze samochodem. Zatrzymaliśmy się na jakimś parkingu, przed jakimś potokiem. Dzwonimy na plebanię. Coś słychać. Jest ksiądz Proboszcz. Witamy się:

- Szczęść Boże. Przyjechaliśmy z Puław. Zostaliśmy posłani przez Biskupa Mieczysława Cisto z Archidiecezji Lubelskiej. Do ewangelizacji, do głoszenia słowa Bożego. Po dwóch bez pieniędzy i jedzenia. Chcieliśmy prosić księdza Proboszcza o błogosławieństwo. Możemy na chwilę?

Lekkie zaskoczenie, ale nie wrogość. Po prostu zaskoczenie.

- Tak. Proszę wejść. Nie mam obiadu, ale może kawę, herbatę?

- Chętnie. Poprosimy.

- Może jakieś kanapki?

-Tak poprosimy. Przepyszne. - Dobrze jest. Taki posiłek na długo wystarczy. Pozwoli wytrwać jakiś czas. Boże, dziękuję Ci. Mówisz: "widzisz, nie będzie tak źle, odwagi". Rozmawiamy, wyjaśniamy szczegółowiej na czym polega nasza misja.

- Czy ksiądz proboszcz miałby jakieś sugestie. Gdzie moglibyśmy pójść? Kogo odwiedzić. Może jest jakaś potrzeba, aby powiedzieć komuś szczególnie Słowo Boże.

(Jeszcze w Puławach Stanisław mówił, że to nie ma być głoszenie katechez w kościele. Raczej przepowiadanie na ulicy).

- No nie wiem, do kogo można by was skierować. Tu wszyscy chodzą do kościoła. Raczej żyją poprawnie. Zajęci, zapracowani. Nie bardzo wpuszczają obcych do domów. No i kręcą się świadkowie Jehowy. Tych raczej się obawiają. Nie chcą, aby im zawracali głowę. Nawracali na inną wiarę.

Kończymy poczęstunek. Modlimy się wspólnie. Prosimy o błogosławieństwo. Ks Błogosławi nas. Żegnamy się. Idziemy jeszcze w górę. Oddalamy się od samochodu. Modlimy się na różańcu, idąc.

Do mszy św. w Piwnicznej pozostało jeszcze trochę czasu. Idziemy przed siebie, tak "w ciemno". Wracamy do samochodu. Podjeżdżamy na rynek w Piwnicznej. Idziemy nad rzekę. Poprad. Podchodzę do siedzącego sześćdziesięcioletniego pana, siedzącego na ławce. Jest z psem. Zagaduję nieporadnie.

- Czy wie Pan, że Bóg Pana kocha?

- Tak wiem. Ale nie jest lekko.

Rozmawiamy chwilę jeszcze.

- Pobłogosławię Pana. Mogę?

-Tak.

Stawiam znak krzyża na czole. Tak często robię, żegnając się ze swoimi dziećmi. Często stawiam krzyż na czole także innych osób, czasem żona daje sobie postawić znak krzyża na czole, czasami moja mama. Czasami kreślę krzyż osobom, które spotykam przy różnych okazjach. W czasie, gdy głosimy rekolekcje w "Projekcie Źródło". Mariusz, jak to zobaczył, prawie mnie zgañił.

- Co ty robisz, jakieś dziwne praktyki?

- Jakie dziwne? - błogosławię.

- To jakieś herezje.

- Jakie herezje. Pan Jezus mówił: "Kładę przed wami życie lub śmierć. Błogosławieństwo lub przekleństwo".

- Wcale tak nie mówił.

Wycofałem się. O co mu chodzi? Przecież często znaczyłem znak krzyża przy księdzu. Nie mówił, aby tak nie robić. Raczej zachęcał. Wiele razy błogosławiliśmy się znakiem krzyża w środowiskach ludzi z różnych wspólnot. Ale fakt, nie w Neokatechumentacie. Przynajmniej ja tego nie doświadczyłem w Neokatechumenacie. Ale pamiętam jak pewien ksiądz opowiadał o spotkaniu z jakimś zakonikiem w Rzymie.

Zakonnik spytał:

- Ty jesteś ksiądz.

- Tak.

- To mnie pobłogosław.

W "Projekcie Źródło" uczestniczę w modlitwach wstawienniczych i w modlitwach o Ducha św. Wiem, że modlitwy za kogoś są dobre i ważne i bardzo potrzebne. Kiedyś postawiłem znak krzyża na czole pewnej kobiety.

Znałem ją i mówiono mi, że może mieć pewne problemy duchowe. W chwili kreślenia krzyża, nie pamiętałem o jej problemach duchowych. Nagle wzdrygnęła się. Jakby odrzuciła atak fizyczny.

- Co ty robisz? - krzyknęła. Zamachnęła się. Prawie mnie uderzyła. Nastąpiła chwila konsternacji.

- Przepraszam – powiedziała za chwilę, jak wróciła do siebie.

Błogosławieństwa i modlitwy za kogoś są ważne. Bardzo ważne. Ale odpuściłem Mariuszowi tym razem.

Udaliśmy się na Mszę św. do kościoła w Piwnicznej. Po mszy, podeszliśmy do ks. Proboszcza. Przedstawiliśmy się, powiedzieliśmy co tu robimy. Poprosiliśmy o błogosławieństwo. Pobłogosławił nas. Wyszliśmy z kościoła. Mariusz wyszedł prosto, ja skręciłem nad skarpę. Powiedziałem:

- Chodź, zobaczymy co tam jest.

Stanęliśmy nad urwiskiem. Pod nami był jakby amfiteatr, jakby park. W oddali zobaczyliśmy trzy siostry zakonne.

- Dokąd one idą - zapytał któryś z nas.

Popatrzyliśmy dalej w kierunku, do którego zmierzały. Dostrzeżliśmy kilkupiętrowy budynek. Na dachu miał umieszczony krzyż.

- To pewnie tam idą.

- Chodźmy, zobaczmy.

Czy Ty właśnie tak działasz Boże? - Pomyślałem - Msza św. i dary. Od razu bez chodzenia, szukania, pytania. Msza św. i już.

Otworzyła siostra zakonna. Przedstawiamy się. Mówimy o sobie kilka słów.

- Czy byłaby możliwość noclegu dla nas? - Pytamy.

- Musicie, zapytać Siostry Przełożonej. Siostry Marty. Ale myślę, że tak.

Siostra Przełożona, Marta

od razu zgodziła się. Pokazała nam pokój, w którym możemy się rozlokować, łazienkę i zaprosiła na kolację.

"Panie Boże, to wszystko takie proste łatwe, tak od razu? Dziękuję Ci Boże" - Pomyślałem w duchu.

- Mam jeszcze prośbę - odezwał się jeszcze Mariusz - Czy moglibyśmy zostawić gdzieś tutaj samochód? Idziemy na prawie tydzień. Wolelibyśmy, aby stał przez ten czas w jakimś bezpiecznym miejscu?

- Tak, oczywiście. Możecie zostawić samochód w moim garażu.

To także było takie sympatyczne i radosne. Siostra przełożona. Skromna, przyjacielska, pomocna. Jak Mariusz poszedł po samochód zaczęliśmy rozmawiać. Zaczęła opowiadać trochę o sobie, o swoich doświadczeniach z dalekiej Syberii. Pracowała tam z wieloma kobietami - matkami, które były po dokonaniu aborcji.

- Ja, taka zwykła dziewczyna. Jak ja mogłam im pomóc? Rozmawiałam i stopniowo otwierały się... Jak będziecie mieli trudne chwile, proszę ofiarujcie je w naszych intencjach. Zaczynamy kurs dla matek z syndromem poaborcyjnym. I od razu widać, że są jego przeciwnicy. Pragnę mówić tym kobietom o miłości Bożej. Chcę im pomoc. One potrzebują tego.

Taka szczerość i otwartość. Właściwie jeszcze nie znała nas. A tu takie zaufanie. Nie prosi się pierwszej napotkanej osoby o modlitwę. Tak przynajmniej do tej pory myślałem. Poczujęm Boga obok nas. Teraz jeszcze bardziej poczułem, że stoimy po tej samej stronie.

„Raczej nie próbujcie uzdrawiać - mówił Stefano. Aby nie próbować wystawiać Pana Boga na próbę i aby nie odebrane to było, jako jakieś spektakularne działania na pokaz. Módlcie się, módlcie się, módlcie się przez cały czas. To właśnie róbcie przez cały czas”. I to było dla mnie bardzo ważna sugestia i rada. Wręcz zalecenie. Właśnie po to zostaliśmy rozesłani, aby prosić o pomoc Boga. Dla nas i dla tych, których spotkamy. Bóg posłał nas abyśmy głosili kerygmat, dobrą nowinę, Słowo Boże, czyli Samego Boga. Abyśmy zanieśli Boga wszędzie tam, gdzie zostaliśmy posłani. Wszędzie tam, gdzie mogliśmy i nie mogliśmy dotrzeć a dotarliśmy. Bo tam, gdzie Bóg chciał żebyśmy się znaleźli, tam docieraliśmy. Nawet do Ropy, nawet do tej miejscowości przy granicy słowackiej – do Leluchowa. Do której prowadziła tylko jedna droga samochodowa i jedna droga kolejowa. Nie ma tej miejscowości na mapie. Aby podążać dalej mogliśmy skierować się albo na Słowację, albo wrócić się do Muszyny. Całkowicie niepraktycznie i nie po drodze. Zastanawialiśmy się, czy warto w ogóle tam iść. Przecież to jest "na końcu świata". Po co tam iść. Ale usłyszeliśmy: „idźcie na krańce świata”. I to był przecież taki kraniec świata. Idąc tam szliśmy dosłownie po torach kolejowych. Droga samochodowa była zbyt długa. Wybraliśmy krótszy wariant. Ale

ryzykowny. Cały czas musieliśmy uważać, czy nie nadjeżdża jakiś pociąg z przeciwka lub z tyłu. I nie było to bezpieczne. Teraz podsumowuję tę decyzję jako nieodpowiedzialną, ale wtedy byliśmy chyba trochę zmęczeni, a chcieliśmy zaliczyć tę właśnie miejscowość. To trochę tak jak idzie się po trawniku, skracając drogę lub przez ulicę poza przejściem, bo przejście dla pieszych jest zbyt daleko.

**6.** Jeżeli chodzi o tę prośbę o modlitwę, to jestem za tym, aby każdego prosić o modlitwę. Nie każdego jednak możemy prosić. Np. tego, kto jawnie przeciwstawia się Bogu. Tego kto, kpi z Boga i naszej wiary. Ale taka prośba może przełamać wiele lodów. Osoba, która prosi cię o modlitwę pokazuje, że cię szanuje, że ma do ciebie zaufanie, że widzi kogoś komu może powierzyć swoje sprawy.....

Wrócił Marek. Zatankował samochód tak aby wystarczyło na powrót do Puław. Resztę pieniędzy jaka mu pozostała, oddaliśmy siostrze. Nawet nie pamiętam, ile tego było. Siostry nie chciały przyjąć. Ale powiedzieliśmy, że to z przeznaczeniem dla biednych. Pozostawiliśmy jedynie 5 zł na zeszyt, aby robić notatki z naszej drogi.

Otworzyliśmy garaż, który wskazała siostra Marta. Okazało się, że był "na styk". Mariusz musiał wjechać do samego końca, aż zderzakiem dotknął dosłownie ściany garażu z tyłu. Jak zamykaliśmy bramę, dotknęła ona przedniego zderzaka. Po bokach było po 5 cm od ścian. Tak jakby ten garaż był szykowany dla tego samochodu. Tak jakby Bóg chciał powiedzieć: "ten garaż czekał tu na ten właśnie samochód - Ja czekałem tu na was...". Później była kolacja, przysnucie, modlitwa, spanie. Pomyślałem sobie: "kiedy będzie następny przysnucie, jedzenie, łóżko, dach nad głową?"

Przyszedł poranek następnego dnia. Najpierw wspólny brewiarz z siostrami w Kaplicy. Potem śniadanie i błogosławieństwo siostry przełożonej na drogę. Wyruszamy, wolni. Jedynie z podręcznym plecakiem. Swoją komórkę zostawiłem w samochodzie. Mariusz swoją zabrał. Przez cały czas wędrowania miał wyłączoną. Ale miał. Miał także zegarek, z nawigacją. Nie nalegałem, aby zostawił te dwie rzeczy. Powinien zostawić, ale zabrał. Idziemy przez miasteczko, w kierunku Łomnicy. Wyciągnęliśmy różańce i zaczęliśmy się modlić. Tak doszliśmy do skraju miasteczka, do rozwidlenia dróg. Jedna z dróg prowadziła do miejscowości Mniszek. Po stronie Słowackiej. Inna do Łomnicy Zdrój. Jeszcze inna w kierunku Wierchomli Wielkiej. Stanęliśmy przy rondzie. Staliśmy jakiś czas. Modląc się próbowaliśmy zatrzymać samochody. "Kiepsko to widzę, nikt się nie zatrzyma" - pomyślałem. I nagle myśl: " ty myślisz po ludzku. Zaczynaj myśleć po Bożemu. Bóg na pewno pomoże. Więcej wiary". I jakby zaraz po tej myśli, zatrzymuje się samochód.

- Panowie do Łomnicy?

-Tak, możemy się zabrać?

- Wsiadajcie.

Chwila ciszy, ale po chwili zaczyna się rozmowa.

-Tak w ogóle to się nie zatrzymuję. Jest jakaś obawa. Nie wiadomo kogo zabiorę do samochodu. Ale was widziałem w Piwnicznej z różańcami w ręku.

Opowiadamy, co tu robimy. Trochę zaskoczony, ale pozytywnie. Nie próbujemy na siłę ewangelizować. Taka zwyczajna rozmowa. Wysadza nas przy kościele w Łomnicy. Nie ma nikogo ani w kościele, ani na plebanii. Modlimy się w kościele. Potem udajemy się do Domu Rekolekcyjnego Ojców Redemptorystów. Po sąsiedzku. Już nie pamiętam dokładnie, kto nam o nim powiedział. Tam zostajemy poczęstowani

kawą. Rozmawiamy z paniami z kuchni. Proszą nas o modlitwę za kogoś z rodziny. Mężczyznę. Miał wypadek, przebywa w szpitalu, w ciężkim stanie. „Traktują nas jako pośredników w modlitwach, kogoś przez kogo modlitwy łatwiej docierają do Boga”. – Pomyślałem z refleksją i sam byłem zaskoczony taką myślą. Ojciec Redemptorysta błogosławi nas na drogę. Wracamy w kierunku rogatek w Piwnicznej. Aby iść do Wierchomli tak trzeba, tak prowadzi droga samochodowa. Chyba że chcielibyśmy iść przez góry. Tak teraz się zastanawiam, dlaczego nie poszliśmy przez góry? Pragnęliśmy zaliczyć wszystkie Parafie, wyznaczone nam przez odpowiedzialnych. Trzymając się szlaku samochodowego była szansa, że ktoś nas podwiezie. Odwiedzenie parafii, uważaliśmy za priorytetowe. Pokazanie się księdzu proboszczowi to zawsze jakiś zastrzyk dla niego, że kościół żyje. Że Bóg nie zapomina o nim i o jego parafii. Taka parafia "na końcu świata", a tu nagle zjawia się dwóch ewangelizatorów z dalekiego świata, posłanych przez biskupa z Lublina. Jeden z Lublina, drugi z Malborka. Niejeden raz widzieliśmy w oczach proboszczów prawdziwą radość, ale i coś jeszcze. Było coś takiego – głębszego.

Idziemy wzdłuż drogi, doliną. Po jednej stronie zbocza gór, las. Po drugiej wieś, pola zabudowania, zbocza górskie nieco dalej. Pogoda się zmienia. Pojawiają się chmury. "A jak zacznie padać"? Pojawia się w myślach pytanie. Natykamy się na rurę wystającą wprost z góry. Wypływa z niej woda. Jest tablica z informacją, że woda nadaje się do picia. Bogata w minerały. Ma szczególne właściwości przez zawartość związków żelaza. Próbuje. Trochę cierpka. Taka żelazna w smaku. Ale jak zimna to dosyć dobra. No to z pragnienia nie zginiemy. Wodę mamy na wyciągnięcie ręki. I tak było przez cały czas naszej wędrówki. Jak nie było wody ze zbocza góry, z rury, to był strumyk. Piliśmy ze strumyka. Idziemy. Modlimy się. I w końcu, jak już zaczynało się dłużyć, zatrzymuje się samochód. Droga w jedną stronę samochodem trwała może 10 -15 minut. Teraz szliśmy już ze dwie godziny. Ucieszyliśmy się, jak zatrzymał się samochód. Skąd tu samochód w takiej gęstocie. Bóg pomaga jak chce i kiedy chce i w miejscu w jakim chce. Dotarliśmy znowu do ronda na skraju Piwnicznej. Pan, który nas podwiózł pojechał w kierunku Piwnicznej. My chcieliśmy do Wierchomli. Zeszliśmy pod most. Obmyliśmy twarze w rzeczce „Łomniczance”. Ta rzeczka towarzyszyła nam od Łomnicy. Stoimy i machamy. Długo nikt się nie zatrzymał. Postanawiamy iść. Nie jest łatwo, bo droga nie ma pobocza. Nie jest przewidziana dla pieszych. Ale my musimy jakoś się przemieszczać. Mijają nas kolejne samochody. Żaden się nie zatrzymuje. Na niebie dzieją się coraz bardziej niepokojące rzeczy. Ciemnieje, grzmi, idzie deszcz. A my w środku lasu. Na drodze - ulicy biegnącej przez las. Wzdłuż rzeki Poprad. Ten Poprad był dla nas jak matka. Był zawsze w naszym zasięgu. Było słychać jego szum. Może świadomość, że jest w pobliżu, potwierdzała, że dobrze idziemy, można się w nim wykąpać chociaż woda zimna, umyć, może przenocować. A poza tym wiedzieliśmy, że idąc wzdłuż rzeki idziemy zgodnie z wytyczonym szlakiem. Nadciągnął w końcu deszcz. Dosyć mocny. Żadnego miejsca do schronienia. Wyciągnęliśmy płaszcze przeciwdeszczowe. Trochę osłoniły przed deszczem. Trochę. Trochę jednak przemokliśmy. Całe szczęście nie padało długo. Szliśmy przez cały czas. Obsychaliśmy w czasie drogi. Trudno było się modlić. Droga wąska. Bez pobocza. Jak jechał samochód, musieliśmy odskakiwać na bok. Szliśmy jeden za drugim. Dotarliśmy do jakiegoś przystanku. Chyba był napis Wierchomla. Ale do Wierchomli była jeszcze długa droga. Taki jakby drewniany szałas. Moglibyśmy trafić na niego podczas ulewy. Ale trafiliśmy dopiero teraz. Siadamy, odpoczywamy. Modlimy się różańcem lub liturgią godzin - brewiarzem. Jedyne okno, kiedy mogłem się zmobilizować i modlić brewiarzem przez cały dzień. Jutrznia. Modlitwa przedpołudniowa, popołudniowa, nieszpory, kompleta. I jeszcze Anioł Pański, Koronka do Miłosierdzia Bożego, czasem Litania Loretańska. Bogactwo Kościoła. Jak brakuje ci twoich słów, Kościół wkłada w twoje usta słowa modlitwy. "Duch święty modli się w was", jak mówi św. Paweł. Módlcie się przez cały czas - przypominały mi się słowa Stefana. I właśnie ta modlitwa była dla nas błogosławieństwem. Dawała siłę. Dawała wszystko, czego nam było potrzeba. Czuliśmy

obecność Boga z nami. Był. Blisko. Szedł razem z nami. Mókł, męczył się, był spragniony, czasem wątpił. On nigdy nie wątpił, ale był z nami, gdy my wątpiliśmy. I niósł nas. Po modlitwie i odpoczynku ruszamy dalej. Od drogi głównej ciągnącej się wzdłuż Popradu, tej, która idzie od Piwnicznej i dochodzi do Muszyny i ciągnie się dalej - my musimy skręcić w kierunku Wierchomli. Najpierw musimy dotrzeć do Wierchomli Wielkiej, a potem jeszcze do Wierchomli Małej. W sumie jest to kilkanaście kilometrów. Musimy dojść w jedną stronę i potem się wrócić. Ale nie myślimy o tym jak długa droga przed nami. Idziemy. "Idzie się, żeby iść". "Płynie się, żeby płynąć". Tak mówili bohaterowie filmu "Nóż w wodzie". My w tej naszej drodze szliśmy, bo zostaliśmy wezwani do tej właśnie drogi. Cały czas byliśmy ciekawi. A co teraz Panie Boże, co za tym zakrętem, za tą górą. I jakby Bóg mówił. Chodźcie przekonacie się. I szliśmy. Nie było lekko, ale szliśmy z radością. Jak na skrzydłach. Chociaż nogi ciążyły. Szliśmy wzdłuż rzeczki "Wierchomlanka". Oczywiście. Zatrzymaliśmy się po jakimś czasie. Usiedliśmy na moście. Zamoczyliśmy nogi. Ochlapaliśmy się orzeźwiająją wodą. Przeptukaliśmy skarpetki. Założyliśmy świeże. Położyliśmy się na trawie. Słońce dawało przyjemne ciepło. Wiał lekki przyjemny wiaterek. Wierchomlanka lekko szumiała. Czy nie jest cudownie. Świat zostawiliśmy daleko. Problemy zostały w Lublinie i w Malborku. Tu jesteśmy my i Pan Bóg. Stwórca. Ten w którego mocy jest nasz los. Tylko w jego mocy. Czy może stać się nam coś złego?

**„Przypatrzcie się liliom na polu, jak rosną: nie pracują ani przędą. A powiadam wam: nawet Salomon w całym swoim przepychu nie był tak ubrany jak jedna z nich. Jeśli więc ziele na polu, które dziś jest, a jutro do pieca będzie wrzucone, Bóg tak przyodziewa, to czyż nie tym bardziej was, małej wiary?” (Mt 6,28-30).**

Nabraliśmy sił. Idziemy dalej. Po jeszcze kilku kilometrach docieramy do wioski. Kilka Chat wiejskich. Widzimy kościół. Parafia Sw. Michała Archanioła. Była Cerkiew, pozostałość po Łemkach, którzy ty kiedyś, niedawno żyli. Przerobiona na kościół. Piękna. Stara budowla, drewniana. Takich kościołów przerobionych z cerkwi, spotkamy jeszcze wiele podczas naszej wędrówki. Raduję się, że pozostały. Brak mi słów do opisanie ich piękna. Takie stare, zakorzenione, naturalne piękno. W kościele modlimy się. Przychodzą jacyś ludzie. Chyba się trochę dziwią, że się modlimy, a nie tylko zwiedzamy. Pytamy o ks. Proboszcza. Był już dzisiaj. Mieszka daleko stąd. Nie pamiętam czy Msza św. była rano. Czy może miała być. Ale nie chcieliśmy czekać, bo by było za długo. Coś ciągnęło nas dalej. Nawiązała się rozmowa. Opowiedzieliśmy co tu robimy. Okazało się, że któraś z tych osób jest kościelnym. Nie wiem czy nie była to kobieta .....

**7.** Ludzie ci przyszli, aby posprzątać kościół albo przynieść kwiaty. Któraś z kobiet zapytała:

- A panowie pewnie głodni? Nie mam już obiadu, zjedzony, ale poczęstuję kawą.

- Bardzo chętnie napijemy się kawy - odpowiadamy

Przechodzimy do domu znajdującego się prawie przy kościele. Jest mąż i córka. Przynoszą kawę i znajduje się zupa. Wspaniała. Zjadamy z apetytem. Nie tylko dlatego, że byliśmy głodni. Jedliśmy śniadanie rano, u siostr w Piwnicznej i piliśmy kawę w Łomnicy. Teraz są godziny popołudniowe 16 może 17. Zupa na prawdę dobra. Gospodyni przynosi za chwilę resztki obiadu - jak nazwała. Dla nas to całe drugie danie. Dziękujemy Bogu. Znowu nas karmi. O właściwej porze. Akurat zaczęło nam "burczeć w brzuchach". Rozmawiamy. Córka przyznaje się, że ma chłopaka. Chce z nim wybrać się na pieszą pielgrzymkę. A rodzice nie chcą jej puścić. Namawiamy, aby zaufali jej i Bogu. Miło i przyjemnie. Siedzimy rozmawiamy, na powietrzu. Stół stoi na podwórku przy wejściu do domu. Takie Polskie popołudnie. Lekki wiaterek.

Słońce miło grzeje. Sielsko, anielsko. Ale już nas popycha coś dalej. Musimy dalej. Inni czekają. Modlimy się, zapisujemy imiona. Irena, Henryk, Magda, Józef, Ola, Darek, Regina. Oni ugościli nas pysznym obiadem. Podanym Staropolskim zwyczajem, na dworze pod drzewami. Obiecujemy modlitwę. Modlę się do tej pory. Często wspominam całą rodzinę. Ich gościnność. Serdeczność. Nie bogaci. Skromni. Podzielili się tym co mieli. Dla nas to nie tylko pokarm dla żołądka. Także dla Ducha. Może nawet nie wiedzą, jak Bóg posłużył się nimi dla nas. Dla nas wzmocnienie wiary. Że ON jest, że pamięta i prowadzi. Troszczy się o nas. Wiedzą. Bóg był widoczny w tej rodzinie. Takie spotkanie "uBogacające", dające Boga każdemu - im i nam. Dzięki, że jesteście cała rodziną z Wierchomli. Bogu niech będą dzięki za was. Żegnamy się. Idziemy. Nie uszliśmy daleko. Zatrzymał się samochód. Dary Boga nie mają końca.

- Dokąd jedziecie? Odzywa się głos męski z samochodu.

- Chcemy do Żegiestowa, ale jak chociaż trochę w tym kierunku moglibyśmy?

- Wsiadajcie.

Mężczyzna ok 30-40 lat. Ikar. Niewierzący, chociaż jak mówi wierzy, że jest ktoś, lub coś. Stara się być w porządku. Postępować dobrze. Do kościoła katolickiego ma uraz. Ksiądz nie chciał pochować jego ojca lub dziadka. Bo był Łemkiem. Wie, że takie były czasy. Teraz byłoby inaczej. Zagłębiam się w rozmyśleniach. Na krótko. Znowu Bóg nieprzypadkowo kieruje naszą wędrówką. Nie przez przypadek przecież Oskar znalazł się w tym miejscu. Boży przypadek dla nas i dla Oskara. My znowu ubogaceni. Opowiedzieliśmy co robimy, po co wędrujemy. Że fakt naszego spotkanie jest po coś. Wysiadamy przy rozwidleniu na Zubrzyk. Oskar jedzie dalej. My musimy udać się kotliną w kierunku kościoła pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Zubrzyku.

Ruszamy. Prawie w pełni sił. Po obiedzie, odpoczynku, podwózce. Kilka kilometrów przed nami. Dosyć szybko dochodzimy do Kościoła w Zubrzyku. Trafiamy na mszę św., ale już jest zaawansowana. Krępiemy się wejść tak późno.

Siadamy na ławce. Czekamy na koniec mszy, na księdza. Koniec mszy. Udaje się nam złapać księdza w drodze pomiędzy kościołem, a plebanią. Starszy ksiądz. Krótko rozmawiamy. Opowiadamy kim jesteśmy, co tu robimy. Jakoś nie mamy odwagi prosić o nocleg. Ksiądz żegna się z nami. Gdzieś się spieszy. Prosimy o błogosławieństwo Błogosławi nas. Wracamy do drogi głównej. Dochodzimy. Widać Poprad. Idziemy wzdłuż Popradu. Kilka kilometrów. Mijamy jakieś budynki. Duże, wysokie. Puste. Jakby opuszczone. Wyglądają na domy wczasowe, ale nieczynne. Opuszczone. Później dowiadujemy się, że komuś zabrakło na dokończenie inwestycji. Prawie wykończone, ale nieczynne. Widzimy w dole tory kolejowe i przystanek kolejowy, widać ławki. Docieramy do kościoła św. Kingi w Żegiestowie. Kościół usadowiony na skarpie, wysoko. Góruje nad okolicą. Nad doliną Popradu. Wyłania się jasna sylwetka budynku kościoła pomiędzy drzew. Wspinamy się po schodach dosyć stromych. Dochodzimy. Kościół zamknięty. Jest ok 20,00. Nic dziwnego. Ale gdzie jest plebania. Gdzie mieszka ksiądz. Zaczynamy się niepokoić. Gdzie będziemy nocować. Tu taka głusza. Żywej duszy. Szukamy. Znajdujemy kilka budynków o charakterze podobnym do tych widzianych wcześniej. Domy wczasowe, opuszczone. Może gdzieś tu moglibyśmy przenocować. Przynajmniej jest dach nad głową. Znajdujemy jakieś drzwi. Zamknięte. Na dworze widoczne światło wewnątrz. Ktoś tu mieszka. Pukamy, dzwonimy. Wychodzi jakaś kobieta. Starsza.

- Dobry wieczór. Szukamy księdza proboszcza. Chcielibyśmy prosić o nocleg.

- Nie ma księdza Proboszcza. On jest u siebie w domu, kilka kilometrów stąd.

- A można do niego zatelefonować?

Dzwonimy.

- Szczęść Boże. Jesteśmy w kościele księdza Proboszcza.

Wyjaśniamy kim jesteśmy.

- Czy znalazłby się tu jakiś nocleg?

- Raczej trudno. Ale niedaleko są domy wypoczynkowe. Tam pytajcie.

Jak powiedziała nam kobieta, te domy są dosyć daleko. Opuszczamy jej dom. Znajdujemy się na ulicy. Nie chcemy iść do domów wczasowych. Nie mamy pieniędzy, a oni pewnie nie przyjmą nas bez pieniędzy. Wraca w pamięci rozmowa z siostrą Małgorzatą. Jak będziecie mieli trudne chwile, polećcie je za nas. To chyba takie chwile. Przychodziło mi to do głowy w ciągu dnia. Nie wolno nam zabiegać tylko o wygody. Jak mają być trudności, niech będą. Ty Boże wiesz co jest dla nas najlepsze. Przypomniała mi się także rozmowa z Piotrem w hotelu w Puławach.

- Może trzeba jakąś jedną, dwie noce spędzić pod Chmurką? Trzeba trochę cierpienia ofiarować Bogu - powiedziałem.

- Nie jedną, dwie, ale wszystkie - powiedział Piotr.

Dało mi to do myślenia. Ty Boże to poprowadzisz, jak będziesz chciał. Poprowadź to. Niech dzieje się Twoja, nie nasza wola. Stefano mówił za Jezusem: "proście, a będzie wam dane". Prosiłiśmy, ale tym razem będzie nam dane coś innego. Nie walczyliśmy nie narzekaliśmy. Był w nas pokój i wiara. Ty dasz siły, aby to przetrwać. Rozważaliśmy nocleg w opuszczonych domach wczasowych. Potem nocleg nad Popradem. Może rozpalić ognisko? Przypomnieliśmy sobie o tym przystanku kolejowym z ławkami. Wróciliśmy tam. Był nawet dach. Chociaż ławki były na dworze. Siadamy. Modlimy się odmawiając kompletę. Zakładamy wszystkie ubrania jakie mamy. Układamy się do snu na ławkach. Próbuje zasnąć. Zmęczenie daje o sobie znać. Ciekawa sytuacja. Myśli walczą ze sobą w ocenie sytuacji. Jedne mówią: sytuacja jak z horroru. Cisza wokół. Noc, lekki wiatr. Chmury wędrują po niebie. Jakaś groza wokół. Grupa przechodząca ulica w górze, przerywa ciszę. Niedługo. Znowu cisza. Ale z drugiej strony. Jak romantycznie. W samym środku gór. W samym pobliżu gór. Poprad szumi. Przyroda. Drzewa. Lipiec. Pewnie będę wspominał tę chwilę niejedną raz będę tęsknił. Cywilizacja daleko. Problemy daleko. A my pod Bożą Opieką. Przyjmujemy to, czekamy. To jest po coś. Jesteś z nami. Przyszedł sen. Niedługo przerywany. Zrobiło się zimno. Za zimno. Trzeba się rozruszać. Pobiegać. Może się rozgrzeję. Gimnastyka, przysiady, pompki. Marek chyba śpi. Ale także się przewraca z boku na bok. Znajduję kawałek cegły. Przynoszę, kładę pod ławkę. Na wszelki wypadek. Taka jest moja wiara. Ufam Ci Boże, ale tak na wszelki wypadek..... Nad ranem budzi nas hałas. Podjeżdża pociąg. Ludzie wsiadają i wysiadają. Trwa to kilka minut. Zасыpiam, ale na krótko. Około godziny piątej może szóstej zimno nie daje spać. Znowu gimnastyka, biegi. Mariusz mówi:

- To zjedźmy śniadanie.

- Śniadanie? Czyżbyś zabrał coś do jedzenia?

Wyciąga brewiarz.



- Ach, o taki pokarm ci chodzi. Pokarm duchowy. Ok.

Modlimy się. Odmawiamy Jutrznę. Po modlitwie czuję się prawie jak po kawie. Rozbudziłem się. Zaczyna się dzień. Pochmurny, ale to już dzień. Wstajemy, ruszamy. Kierunek Milik. Wyjmujemy różańce, modlimy się, idziemy. Wzdłuż drogi głównej wzdłuż Popradu w dole, wzdłuż torów kolejowych w dole. Spotykamy człowieka. Idzie w tę samą stronę. Przez jakiś czas nie odzywamy się. Postanawiamy zagaić rozmowę. Pytamy o drogę do Milika.

- Możecie iść dalej tą drogą, tak jak prowadzi ulica. Ale jest skrót, przez góry i las. Ja idę skrótem, możecie iść ze mną. Dzięki Ci Boże. I za ten dar, za tego mężczyznę i za ten skrót. Skąd on się tu wziął. Nagle na takim odludziu. Tak rano. Skrót nie był prosty. Trzeba było kluczyć przez zarośla, krzaki. Bezdroże. Ściółka leśna. Mchy. Skały. Wspinac się pod górę i z góry kilka razy. Kilka kilometrów. W pewnym momencie Robert zadaje nam pytanie:

- A teraz którą drogę wybieracie?

Zastanawiamy się. Wybór jest oczywisty. Wskazujemy kierunek. A Robert na to.

- Niestety, to nie jest dobry wybór. - On wiedział. Znał drogę. Jak mówił chodzi już długo tym skrótem. Dla nas kolejny przykład jak łatwo pomylić się polegając tylko na własnym instynkcie. Roman pracuje dorywczo, przy remontach. W różnych miejscach. Ma kontakt z jakąś kobietą, ale nie jest to zdrowy układ. Ona jest daleko. Są jeszcze jakieś inne przeszkody. Pił. Na szyi ma zawieszony amulet. Ząb jakiegoś dzika lub innego zwierza. Wierzy, że mu pomaga. Tak mówi, ale chyba nie do końca w to wierzy. Tak oceniam. Że jest w nim jeszcze jakiś rozsądek. Wygląda na 40-50 lat. Doświadczony przez życie. Schodzimy z gór. Dochodzimy do ulicy. Uważajcie tu na poboczu. Lubią tu polegiwać żmije.

**„19 Oto dałem wam władzę stąpania po węzłach i skorpionach, i po całej potędze przeciwnika, a nic wam nie zaszkodzi”... (Łk 10,19)** Odzywa się głos gdzieś w mojej duszy.

Teraz jeszcze za wcześnie, ale kto wie. Idziemy ciągle patrząc pod nogi. Samochody zaczynają przejeżdżać coraz częściej. Coraz częściej musimy schodzić z ulicy na pobocze. Robert mówił, opowiadał prawie przez cały czas wspólnej wędrówki. Dobrze się go słuchało. Czasami przerywaliśmy mu. O coś się dopytując. W końcu mówi:

- Ja tutaj skręcam. Wy idźcie tam. Do kościoła w Miliku jeszcze kilka kilometrów. W górę kotliny.

Modlimy się na koniec, wspólnie. Radzimy, aby wyrzucił ten amulet. Mówimy: "Bóg jest jeden, Bóg cię Kocha. Będziemy się modlić za ciebie. Dziękujemy, że nam pomogłeś. Że nas przeprowadziłeś przez góry tym skrótem. To nie jest przypadek, że się spotkaliśmy. Bóg chciał abyś na spotkał. Pomyśl co to znaczy dla ciebie". Zobaczyliśmy tży w jego oczach. Uściskaliśmy się na pożegnanie. Roman ruszył w swoją stronę. My w swoją. Dzięki Ci Boże, za to nowe doświadczenie. Za Roberta, Błogosław mu. Do tej pory modłę się za niego. Modłę się za wszystkich, których spotkałem. Za wszystkich którzy nam pomogli, ale i za tych którzy nie mogli nam pomóc. Za wszystkich którzy nas podwozili. Dali jeść lub pić podwieźli nas, pokazali drogę, rozmawiali z nami. Wszystkich ich nam Bóg podsyłał po coś. I do końca nie wiem czy to nas przysłał do nich, czy ich postawił na naszej drodze. Czy to my ich ewangelizowaliśmy czy to oni głosili nam Ewangelię. Swoim życiem, opowieścią, świadectwem, gestem. Jakby Bóg mówił: "Odwagi. Ja Jestem"... "Dla was i dla nich". Bóg potwierdzał swoją obecność w każdej niemal chwili. Poprzez każde wydarzenie, każdą sytuację. To był czas „kyrios”. Od Puław do Puław. Czas, w którym Bóg się objawia w

sposób szczególny, mocny, zauważalny. Jesteśmy uzdolnieni, aby Go zobaczyć, odczuć, uwierzyć. Abyśmy mogli powiedzieć: "Nie wierzę, że tu jesteś, ja wiem, że tu jesteś". W każdej sytuacji, w każdej osobie było coś szczególnego, coś zastanawiającego. W każdej z osób było widać, że w jakiś sposób Bóg ją tutaj postawił. Każdą sytuację aranżował Bóg.

I czy jest tak jedynie w czasie od Puław do Puław? Czy może jest tak zawsze bez przerwy? Tylko my tego nie widzimy. Nie chcemy zauważyć. Dopiero ktoś nam musi powiedzieć: "teraz będzie ten czas".....

Do tej pory bez posiłku. Od wczorajszego obiadu w Wierchomli. Jest teraz około południa. Idziemy nad Poprad. Przedzieramy się po kamieniach i skałach przez zarośla, krzewy. Cały czas patrzymy, czy nie widać gdzieś jakiejś źmii. Kąpiemy się. Myjemy się. Niełatwo. Woda czysta, ale zimna. Na dnie rzeki kamienie i muł. Ale słońce świeci i jest przyjemnie. Jak w lecie na wakacjach, nad Popradem.

Żywej duszy w koło. Tylko my i Bóg i przyroda otaczająca nas dookoła. Znowu przedzieramy się przez zarośla. Dochodzimy do drogi. Ulicy. Obieramy kierunek: Milik. Parafia pw. Św. Kosmy i Damiana Męczenników w Miliku. Kilka kilometrów w górę. Mija nas kilka samochodów. Nikt się nie zatrzymuje. Zaczynamy być głodni i spragnieni. Słońce przygrzewa coraz mocniej. Widzimy jakieś jabłka na drzewach. Ale jeszcze niedojrzałe. Idziemy dalej. Dochodzimy do kościoła. Na wzgórku. Koło cmentarza. Kościół zamknięty. Siadamy na ławkach koło kościoła. Pod drzewami w cieniu. Kładziemy się na tych ławkach. Odpoczywamy. Nie pamiętam, czy modliliśmy się. Chyba tak. Zazwyczaj omadlaliśmy daną parafię dany kościół. Modliliśmy się prawie bez przerwy. Idąc Szliśmy i modliliśmy się. Modlitwa nas prowadziła i otwierała na działanie Boga. Modlitwa może wszystko. Nie ma większego daru jak modlitwa za kogoś. Ochłodziliśmy się w cieniu. Odpoczęliśmy. Nieco w dole widać było dom księdza. Podchodzimy, pukamy, dzwonimy. Otwiera młody ksiądz.

- Szczęść Boże. Mówimy na powitanie.

- Szczęść Boże.

Wyjaśniamy kim jesteśmy, co tu robimy.

- Posłał nas Biskup Mieczysław Cisko z Archidiecezji Lubelskiej. Dodajemy.

- A, to miło was widzieć. Proszę wejśćcie.

- Dostalibyśmy coś do picia?

- A może macie ochotę na kawę?

- Chętnie się napijemy.

Rozmawiamy. Opowiadamy. Mariusz poprosił księdza o koszulkę, gdyż swoją zgubił gdzieś po drodze. Ksiądz poszperał i przyniósł.

- A gdzie dalej zmierzacie?

Patrzymy na mapkę.

- Złockie – Mówimy - Ale czy musimy się wracać do głównej drogi?

- Można, ale jak pójdziecie w górę przez las, będzie o wiele bliżej. Pokarzę jak tam iść.

Poprosiliśmy o błogosławieństwo na drogę i ruszyliśmy.

**8.** Idziemy dalej w górę. Droga stopniowo coraz bardziej zaczyna się podnosić. Mijamy kolejne chaty chciałoby się napisać. Ale to nie były chaty. Chociaż gdzieśgdzie zdarzała się chata przypominająca góralską. Były to raczej domy. Obok nich budynki gospodarcze. Po pewnym czasie takiej wędrówki w górę zdaliśmy sobie sprawę, że nie jedliśmy od wczorajszego obiadu w Wierchomli. Kawa i woda u księdza raczej nas nie pożywiły. Mieliśmy jakieś niewyobrażalne siły duchowe, które popychały nas dalej i pozwalały utrzymywać marsz. I znowu przypomniała na się rada Stefano: "Proście, a będzie wam dane". Panie Boże chyba tutaj przygotowałeś dla nas jedzenie. Bardziej stwierdzenie niż pytanie. Jakieś przecucie. Jakiś impuls. Dlaczego akurat tutaj? Wchodzimy przez bramę. Widzimy człowieka siedzącego przy stoliku z parasolem. Około sześćdziesięcioletni mężczyzna. Słońce przygrzewa. Jest ok 11,00 może 12,00

- Dzień dobry. Idziemy do Złockiego, czy to dobry kierunek? Witamy się, jednocześnie zadając pytanie.

Mężczyzna coś odpowiedział. Nie zrozumieliśmy.

- Czy moglibyśmy dostać szklankę wody?

Pojawiła się kobieta. Ok 30 letnia. Pewnie córka. Powtórzyliśmy pytanie o wodę.

- Tak, oczywiście zaraz przyniosę.

- Idziemy do Złockiego, czy to dobry kierunek?

- Tak cały czas prosto w górę, jak prowadzi droga. Tamtędy górą dojdziecie.

Kobieta poszła w kierunku domu. Zaczęliśmy rozmowę z mężczyzną. Pytaliśmy o zdrowie o rodzinę. Mężczyzna opowiadał.

- A jak zdrowie?

Pojawiły się łzy na jego policzku. Jakby trudno było mu o tym mówić.

- Było zdrowie, ale już nie ma. Nie ma siły – odpowiada mężczyzna.

Zorientowaliśmy się, że siedzenie przed domem jest jego główny zajęciem.

Pojawiła się kobieta, która poszła po wodę. Przyniosła dwie butelki wody.

- A może coś do jedzenia?

- Jeżeli nie sprawi to kłopotu to poprosilibyśmy.

Pojawiła się jeszcze druga kobieta. Pewnie druga córka. I dziecko kilkuletnie.

- Tato tak długo niedomaga?

- No już jakiś czas.

Za chwilę przyniosły półmisek z jedzeniem. Ser żółty i wędlina.

Ale wyżerka. Panie Boże dziękuję. Skąd to, za co, dlaczego? Obcy faceci wchodzą na posesję. Zagadują. I od razu taki poczęstunek. Później przyszła taka myśl: Może oni widzieli w nas kogoś innego? Tylko Ty

Boże wiesz, jak to było. Bierzymy się za jedzenie. Jemy z apetytem. Łapczywie. Byliśmy nieźle głodni. Wszystko smakuje. Po jedzeniu chcemy się pomodlić.

- O co modlić się dla Państwa?

Zakłopotanie na twarzach córek. Znowu tży na twarzy mężczyzny. Kobiety odwracają się. Odchodzą do swoich domów. Nic nie mówią. Modlimy się o Błogosławieństwo i łaski Boże dla ich rodzin i o zdrowie. Pytamy mężczyznę o imię.

- Jan - Odpowiada.

- A córki?

- Adela i Dorota.

- Będzie dobrze. - Pocieszamy - Niech pan będzie dobrej myśli. Będziemy się modlić. Pamiętam do tej pory, w moich modlitwach, o Józefie, jego córkach i rodzinie.

Żegnamy się. Chcieliśmy pożegnać się z córkami. Czekamy chwilę. Nie przychodzą. Nie chcieliśmy wchodzić do domów. Wyszło dziecko.

- Powiedz mamie, że bardzo dziękujemy za poczęstunek.

Wychodzimy. Idziemy dalej. Słońce grzeje coraz bardziej. Ulica asfaltowa kończy się. Ale my jesteśmy dobrej myśli. Dziękujemy Bogu za posiłek. Od razu lepsze myśli i większe siły. Wyciągamy różaniec. Modlimy się. Odmawiamy też Litanię Loretańską. Bezdroże. Coraz więcej kamieni. Niewygodnie się idzie. Stopy się wykrzywają. Mam złe buty do takiej wędrówki. „Pseudoadidasy”. Zaczynają się przecierać z boku. Zaczyna też boleć stopa. Śródstopie. Musiałem za bardzo nadwyrężyć, gdzieś wygiąć na kamieniach. Wchodzimy do lasu. Ciągłe tą samą drogą. Coraz bardziej wyboistą i kamienną. Trudno iść po tych kamieniach. Mariusz ma właściwe buty. „Trapery”. W Puławach były za grube za gorące. Teraz okazały się najwłaściwsze. Idziemy wzdłuż strumyka. Pochylam się, aby napić się. Woda dobra. Posmak żelazisty taki jak przy łąkniczy. Ale zimna i bardzo dobra. Panie Boże dzięki Ci. Dbasz o nas. Zapewniaasz picie. Pod dostatkiem. W obfitości. Ile dusza zapagnie. A słońce grzeje. Ta obecność strumyka cieszy. Wody nam nie zabraknie. Idziemy, ale ból w nodze się wzmacnia, jest coraz większy. Coraz trudniej iść. próbuję stawiać nogę w różny sposób, pod różnymi kątami. Trochę pomaga, ale na krótko. Nie myślałem o dobrych butach. Widziałem, że są na skraju żywota. Ale w ogóle nie pomyślałem, że będę chodził po górach i potrzebował „trapery”. Myślałem: "Ty Boże zadbasz o wszystko". No i to sknerstwo. Po co kupować nowe buty? Trochę chęć oszczędzania i brak pieniędzy. Mam dosyć. Pragnienie, zmęczenie, gorąco. Żar leje się z nieba. Dobrze, że idziemy w lesie między drzewami. Czasami pada na nas cień. Dochodzimy do polany. Padamy. Idę do strumienia. Zdejmuję buty. Chłodzę nogi. Taki górski strumyk, ta woda może mieć właściwości lecznicze. Pocieszam się. Ale odczuwam ulgę. Ból nieco stłumiony. Taki zimny okład. Przemywam i masuję stopy. Płuczemy skarpetki. Przemywam twarz. Co za ulga. Padam na trawę. Chłoniemy odpoczynek. Przyrodę. Las. Wiaterek. Lekki powiew, chłodzący. Orzeźwiający. Leżymy w cieniu. Słuchamy lasu. Szum lasu. Przejeżdża ktoś na quadzie. Robi hałas przez chwilę. W oddali słychać traktor. Teraz odpoczynek, wczas, wylegiwanie się. Zapadamy w drzemkę. Dającą siły. Odpoczywamy. Chwilo trwaj.... Po kilkudziesięciu minutach budzimy się. Odświeżamy się w strumieniu. Znowu moczę bolącą stopę. Obmywam. Ból nieco zelżał.

Modlimy się. Brewiarz. Modlitwa przedpołudniowa była wcześniej, teraz modlitwa popołudniowa. Wstajemy. Ruszamy. Dochodzimy chyba do szczytu góry. Raczej płaski, ale zaczyna się droga w dół. Kamieni jakby mniej. Rozwidlenie dróg. Którą wybrać. Widzimy kogoś na traktorze, na polu. Podchodzimy, pytamy o drogę. Idziemy. Po kilku kilometrach dochodzimy do wsi. Kuleję. Noga boli. Nie mogę normalnie iść. Boli, ale idę. Miałbym ochotę usiąść lub położyć się, ale skoro mogę iść to idę. Panie Boże pomóż i prowadź. Idę, ale myślę. Jak to się skończy. Mam ochotę się zatrzymać. Nie możemy przecież się zatrzymać. Jak to się skończy. Koniec ewangelizacji. Nie dam rady. Wsiadam do pociągu i wracam. A może do lekarza, może coś poradzi. Ale gdzie tu szukać lekarza? Też trzeba iść, a ja mam dosyć marszu. Panie Boże niech się dzieje Twoja wola. Prowadź. Równy teren. Ulica i chodnik. Lepiej i wygodniej się idzie. Ból jakby lżejszy. Może sprawisz Boże, że wieczorem, tam, gdzie będziemy nocowali ktoś będzie miał maść leczniczą. Boli, ale zapominam o bólu. Idziemy w dół. Zatrzymujemy się przed jakimś domem, prosimy o wodę do picia. Zaczynamy rozmowę.

- Idziemy, rozmawiamy, opowiadamy dobrą nowinę. O bogu i Jezusie Chrystusie - Mówimy do Kobiety i mężczyzny. Którzy dali nam wodę.

Patrzą się nieufnie.

- Nie jesteśmy Świadcami Jehowy.

- To dobrze. Kręcą się tu często. Nagabują.

- Nie. To nie my. My posłani zostaliśmy przez katolickiego Biskupa. Tak jak apostołowie po dwóch, bez pieniędzy i trzosa na drogę.

Trochę zakłopotani. My i oni. Zmęczenie daje znać.

- Dziękujemy za wodę.

Ruszamy dalej. Dalej w dół. Okazało się, że ominęliśmy jeden kościół.

Przypomniałem sobie. Jeszcze wczoraj schodząc w dół od księdza z Zubrzyka, natrafiliśmy na dom zakonny jakichś sióstr. Pytaliśmy o możliwość noclegu. Nie było jednak miejsca.

Dzisiaj jesteśmy już w miejscowości Złockie. Szukamy kolejnego kościoła. Parafia Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Złockiem. Błądzimy. Trochę pytamy, trochę idziemy za drogowskazami. Po błądzeniu i kluczeniu trafiamy na oznaczenie, drogowskaz. Droga do kościoła po schodach w górę. Kolejna cerkiew po Łemkach, przerobiona na kościół katolicki. Zabytkowa. Piękna. Modlimy się różańcem. Odpoczywamy. Po odpoczynku ruszamy dalej. Ile już kilometrów mamy w nogach? Teraz kierujemy się w stronę Muszyny. Może ktoś nas podwiezie? Idziemy, idziemy, idziemy. Wydaje się, że cel jest blisko, stromizna łagodnieje, zaczyna się równy teren, ale jakoś droga ciągnie się i ciągnie. Nikt nas nie podwiózł. Dochodzimy w końcu do Muszyny. Miasteczko. Piękne. Jakaś cywilizacja. Ani to nas cieszy ani martwi. Po prostu kolejne miejsce. Piękne. Po łonie przyrody wśród gór i lasów i bezdrożach i kamieniach, chodnik, ulice, samochody. Miasto. Co nas tu czeka? Dokąd zmierzamy? Do kościoła. Pytamy ludzi. Chyba turyści. Pokazują drogę tak jakoś niepewnie. Idziemy. Kilka ładnych kilometrów. Dochodzimy w końcu. Kościół pw. św. Józefa Oblubieńca w Muszynie. Jest sobota. Godziny wieczorne. Chociaż jeszcze jasno. Ok 18. Zostajemy na Mszy św. Walczę ze zmęczeniem i snem. Trudno, siedząc w wygodnej ławce. Po mszy wchodzimy do zakrystii, Podchodzimy do proboszcza. Opowiadamy o sobie. Wyjaśniamy co tu robimy.

Ksiądz Proboszcz Błogostawi nas. Robi wrażenie, że gdzieś się spieszy. Przy wyjściu z kościoła podchodzi do nas jakaś kobieta. Ok 60 lat.

- Słyszałam panów rozmowę z księdzem proboszczem. Pewnie nie macie gdzie spać. Idźcie do niego na plebanię, poproście. Powinien się zgodzić, udzielić wam nocleg.

Idziemy na plebanię. Dzwonimy, pukamy, czekamy. Cisza, głucho. Nikt nie otwiera, Podchodzimy jeszcze raz pod kościół. Jest jeszcze ta sama kobieta.

- Spróbujcie u Sióstr Franciszkanek Bezhabitowych. Po drugiej stronie Muszyny. Wskazuje kierunek, podaje adres. Mariusz wyciąga zegarek z nawigacją. Nawet nie próbuję mu przeszkodzić. Wszystko jedno jak, bylebyśmy dotarli do celu. Dzisiaj Panie Boże nie dam rady spać pod chmurką. Pomóż. Idziemy przez całą Muszynę. Jakieś skrzyżowanie. Rondo, jakieś ulice. Zatrzymujemy się przy jakimś domu, prosimy o wodę. Jest chyba jakieś rodzinne spotkanie. Może imieniny cici. Nie odważamy się pytać o możliwość noclegu. Idziemy dalej, mijamy park: ławki, trawnik, drzewa, krzaki. Droga idzie lekko pod górę. W połowie góry dochodzimy pod wskazany adres. Dwie okazałe wille. Brama żelazna. Nad bramą figura św. Michała Archanioła. Chyba Mosiężna. Okazała. Dostojna. Dzwonimy domofonem.

- Kogo Bóg prowadzi? - Odzywa się męski głos.

- Szczęść Boże. My do sióstr. Dobrze trafiliśmy?

- Zaraz zejść.

Przychodzi mężczyzna. Ubrany na czarno, Ok sześćdziesiątki, nie chyba trochę więcej. Nie przypuszczamy, że to ksiądz. Te wille zupełnie nas zmyliły. Poza tym to miał być zakon sióstr. To skąd tu ksiądz.

- Dzień dobry. A my chcieliśmy do sióstr.

- A, to idźcie tędy naokoło.

Odwracamy się.

- Ale tędy będzie bliżej. - Zaprasza nas do środka posesji.

- Idźcie tędy dołem.

Dochodzimy do jakiegoś podwórza. Przy drugim budynku - willi. Stoimy przy jakimś garażu. Wychodzi jakaś kobieta, w średnim wieku. Ubrana jak zwykła wiejska kobieta. W fartuszk.

- Dzień dobry. My do sióstr. Gdzie możemy porozmawiać z siostrami?

- Na górze. Tędy, po schodach.

Wchodzimy do przedpokoju. Chwilę czekamy.

Wychodzi ta sama kobieta, która była na dole.

-Szczęść Boże, Siostra Małgorzata - Podaje swoje imię zakonne.

Stoimy jak wryci. No tak, niezłe zachowanie, nasze. Ale siostra uśmiecha się. Domyśla się naszego zakłopotania. Patrzy na nas, jakby wiedziała kim jesteśmy i co tu robimy. Jakby na nas czekała. Jakby

wiedziała, że się zjawimy. Ale to podsumowanie przyszło do nas później. Na razie opowiadamy o naszej misji.

- Czy znajdzie się jakieś miejsce na nocleg dla nas. Może być na podłodze - mówię.

Jesteśmy zdesperowani. Zmęczenie daje znać. I mamy dość wszystkiego. Jest nam wszystko jedno co się stanie. Jej odpowiedź nie była dla nas taka oczywista.

- Żadna podłoga. Znajdzie się pokój i łóżka. Zapraszam na górę. Chodźmy.

Pokazuje ogromny pokój. Prawdziwy apartament. Dwie wersalki.

- Tu jest balkon. Tam jest łazienka. – Zaprasza gestem Siostra. - Umyjcie ręce i zjedźcie coś zjeść. Pewnie jesteście głodni. Prysznic weźmiecie później. Zostawcie tu swoje rzeczy.

Schodzimy na dół. Siadamy przy stole.

- Z obiadu niewiele pozostało, ale powinno wystarczyć.

Było ze dwanaście różnych potraw. Kolacja królewska. Spałaszowaliśmy wszystko łapczywie. Nie wierząc w to co widzimy. W chwili, gdy siostra była w kuchni, Mariusz Mówi do mnie:

- Pascha. Dzisiaj jest sobota, Pascha. Wczoraj było cierpienie. A dzisiaj mamy Paschę. Królewski posiłek, pokój, gościna.

Dzwoni telefon. Domyśliliśmy się, że ktoś pyta o nas. Pewnie ten mężczyzna.

- Tak, dostali kolację. Zostaną na noc... Msza św. jutro o 9,00. Dobrze powiem. Odpowiada Siostra do telefonu.

- Ksiądz Prałat zaprasza was jutro na mszę św. do kaplicy o godz. 9.00. - Mówi do nas.

"Ksiądz prałat? Skąd tu ksiądz Prałat? Jaki ksiądz Prałat?...Pytam siebie w myślach.

- Jedzcie jeszcze, pewnie jesteście głodni. To nic takiego. Mam jeszcze pierogi, zjecie?

- Bardzo chętnie. Poprosimy. Z przyjemnością.

Wszystko pyszne. Idąc na górę, odwróciłem się. Przecież obiecałeś mi Panie Boże jakąś maść na nogę.

- Czy ma siostra może jakąś maść od bólu: mięśni stawów. Taką dla sportowców?

- Coś poszukam.

Przynosi mi dwa rodzaje maści. Widać, że jakiś dobry gatunek. Jedna i druga. Nie mogę się zdecydować którą wybrać. Biorę dwie i używam dwóch.

Bierzemy prysznic. Robimy pranie. Rozwieszamy na balkonie. Cieszymy się balkonem i widokiem z balkonu. Widać zbczce góry, porośnięte świerkami. Cisza. siadam na krześle na balkonie. Nie wierzę w to co widzę. Jestem najedzony, po prysznicu. Zrelaksowany. Siedzę na fotelu w Muszynie. W wytwornej willi. W tej słynnej Muszynie. I delektuję się górskim powietrzem. Ty Panie Boże tu mnie przyprowadziłeś. Przyniosłeś. Zadbales o najmniejszy szczegół. Nie jakiś namiot, Nie jakaś stodoła. Apartament w Muszynie. Jak dajesz, dajesz w obfitości. Żeby było wiadomo, że to od Ciebie. Dzięki Ci Boże. Modlimy się

brewiarzem. Zasypiamy. Rano, po toalecie, modlimy się. Schodzimy do kaplicy. Są siostry i jacyś ludzie. Około 10 osób. Najwyżej. Siostra pyta czy będziemy czytać czytania. "Tak, oczywiście" – odpowiadamy.

Wchodzi ksiądz Prałat.

- ???

- Ten sam mężczyzna, który witał nas przy bramie.

- Mamy dzisiaj niezwykłych gości, których zapraszam, aby powiedzieli coś o sobie. Co tutaj właściwie robią? Uśmiecha się do nas ksiądz Prałat. Zachęca:

- Powiedzcie coś.

Mariusz wyjaśnia wszystko, po kolei w miarę dokładnie.

- I teraz drugi Pan. Prosimy - ksiądz zwraca się do mnie.

- Co ja mogę powiedzieć. Może powiem.... coś więcej o sobie.

Powiedziałam o kryzysie małżeńskim. Że nie udało się nam. Posypało się małżeństwo i rodzina. Byłem na dnie. Świat zawalił mi się na głowę. Przychodziły różne rozwiązania do głowy. Wielu doradców. Wiele rad. Tych światowych. „Młody jesteś, atrakcyjny. Poradzisz sobie. Jeszcze znajdziesz drugą kobietę, lepszą. Jeszcze ułożysz sobie życie. Założysz drugą rodzinę”. Trudno było. Szczególnie samotność była i jest trudna. Ale nie potrzebuję drugiej żony i drugiej rodziny. Mam już żonę i rodzinę. Będę czekał. Modlił się. Jak związę się z drugą kobietą, dokąd wróci żona. Nie będzie miała gdzie wrócić. Dzieci, jak do mnie przychodzą nie natkną się na obcą kobietę, do której musiałyby mówić: "Proszę pani" albo "ciociu". "Rozwód to brama do piekła" - tak mówił Ojciec Pio. O tym jest napisane w Piśmie św.

Mówiłem na ślubie: "ślubuję ci miłość, wierność oraz to, że cię nie opuszczę aż do śmierci"... Jak chcę żyć z Jezusem, jak chcę przyjmować sakramenty święte, to muszę żyć zgodnie z Ewangelią. Być wierny Bogu, żonie, przysiędze małżeńskiej. Warto żyć Ewangelią. Jestem sam, ale żona wie, że może wrócić do mnie. Żyję z Jezusem i to mi daje siły.

Ksiądz homilię oparł w dużej mierze na tym co powiedzieliśmy i łącząc to ze Słowem Bożym na ten właśnie dzień, na tę właśnie niedzielę.

- Może opowiedzielibyście te wasze historie w kościele, do wiernych? - Zapraszał nas do głoszenia podczas dzisiejszych mszy św.

Musieliśmy odmówić. Pamiętając co mi powiedział Stanisław w Puławach, nie chciałem "wychodzić przed szereg". Wymówiliśmy się dalszą drogą.

- Tu w Muszynie także możecie ewangelizować podczas mszy świętej - mówił ks. Prałat.

Był poruszony. Duch św. objawiał mu, że dzieją się wielkie rzeczy. Warto abyśmy powiedzieli coś do jego parafian. Odmówiliśmy jednak. Żałuję teraz. Tym bardziej jak usłyszałem świadectwa braci, już po powrocie w Puławach, którzy mówili Słowo Boże w Kościołach. Zabrakło mi odwagi. Mariuszowi także. Ale z drugiej strony trzeba ufać, że to wszystko Bóg jednak prowadził. Te rzeczy, które wydarzyły się później potwierdzają to. Nie dało się w taki sposób, Bóg podsunął inne możliwości.



Po mszy ks. Prałat i siostry zaprosili wszystkich na śniadanie. Śniadanie nie obrazuje jednak tego co zobaczyliśmy na stole. Uczta weselna. Kilkanaście dań. Znowu królewskie przyjęcie. Bóg nagradzał za to co się wydarzyło, co już za nami i za to co będzie, co jest przed nami. Różni ludzie z różnych stron. Różnych profesji. Był Pan z Niemiec. Był lekarz weterynarii z żoną. Innych pamiętam z twarzy, ale nie pamiętam za dużo czym się zajmowali. Opowiadaliśmy o wydarzeniach, które nam się przytrafiły, Jak Bóg nas prowadzi cały czas tą drogą ewangelizacyjną. Żona lekarza weterynarii porównywała te nasze opowieści z faktami wokalisty ze Skaldów, który się nawrócił i cały czas Bóg działał w jego życiu. Było tak uroczyście, rodzinnie. Siostry proponowały nam kanapki na dalszą drogę. Ale odmówiliśmy.

- Bóg zatroszczy się o nas. Nie będziemy brali nic na drogę. Tak jest w Piśmie napisane.

Ks. Prałat pożegnał się z nami. Jechał na dalsze msze święte. Jak się dowiedzieliśmy później, ksiądz Prałat był Kapelanem w Stanach Zjednoczonych. Dom na Zgromadzenie ofiarował właśnie on, kapłan od ponad 30 lat pracujący w USA. Wzniósł budynek w Muszynie, w której chciał zamieszkać na emeryturze. Potem podarował go zgromadzeniu. My pożegnaliśmy wszystkich. Podziękowaliśmy za gościnę. Bardzo dziękujemy Ci Panie Boże za ten czas. Za tę gościnę, Za Siostry: Małgorzata, Bronisława, Maria. Za ZGROMADZENIE SIÓSTR FRANCISZKANEK OD CIERPIĄCYCH. Ale jeszcze weterynarz z żoną zaprosili nas do siebie. Na chwilę, na szklanek wody, na krótką rozmowę. Okazało się, że studiował w Lublinie, na wydz. weterynarii, Lubelskiej Akademii Rolniczej. W moim rodzinnym mieście, w którym cały czas mieszkam. Zaoferował się także, że nas podwiezie do następnego miejsca. Skorzystaliśmy. Zawsze to kilka kilometrów do przodu. Podwiózł nas do kościoła bł. Marii Teresy Ledóchowskiej w Muszynie. Pożegnaliśmy się. W kościele odmówiliśmy modlitwy. Po modlitwie zapukaliśmy do ks. Proboszcza. Pobłogosławił nas na drogę. Ruszyliśmy dalej, w kierunku miejscowości przy granicy ze Słowacją, o której pisałem wcześniej, w kierunku Leluchowa. Stąd było bliżej. I słowa: "Idźcie na krańce świata" przeważały podjęcie decyzji. Całą drogę pokonaliśmy na piechotę. W większości idąc torami kolejowymi. Tuż przed Leluchowem, zaczął padać deszcz. Ale zatrzymał się wtedy jakiś samochód i podjechaliśmy do kościoła - Parafi Macierzyństwa Najświętszej Maryi Panny w Leluchowie.

**9.** Modlimy się na różańcu. Kościół, jak poprzednie przerobiony z Cerkwi. Zabytkowy, solidny, drewniany. Kręci się kilka osób. Oglądają, zwiedzają. Po modlitwie chcemy wychodzić. Podchodzi do nas Pani kustosz. Opiekunka kościoła. Kościół pełni dwie funkcje. Jest świątynią i jednocześnie zabytkiem - muzeum. Otwarty i udostępniony zwiedzającym. Zastanawiam się czy dobrze się stało, jak się stało. Że z cerkwi przerobiony został na kościół katolicki. Trudne pytanie. Jestem przekonany, że religia katolicka jest tą właściwą. Może dojdzie kiedyś do ponownego zjednoczenia? Dobrze, że kościół przetrwał. Że nie zburzono go. Jest dla tego samego Boga.

- Skąd Panowie się tu znaleźli. Prawie nikt ze zwiedzających nie modli się. Ludzie wchodzą, patrzą, wychodzą. A ja modlę się, aby wydarzyło się coś w końcu. I przyszli Panowie. I się modlicie. Czy to coś znaczy? Tu jest prawie koniec świata, a wy tu przyjechaliście.

- Nie potrafimy odpowiedzieć. Nie wiemy co to oznacza.

Wyjaśniamy naszą misję. Ale co z niej wyniknie? Tylko Bóg wie.

- Ale cieszę się - ciągnie dalej kobieta. Ma około 30 lat. Może mniej lub więcej. Trudno tak z perspektywy czasu zapamiętać.

Rozmawialiśmy jeszcze chwilę. To była taka rozmowa pomiędzy wierszami. Dało się zauważyć radość w tej kobiecie. Uderzała w nas tą radością. Potwierdziła nam, że warto było tu dotrzeć. Na kraniec świata. "Idźcie na krańce świata". Przyszliśmy. Pytamy o księdza Proboszcza.

- Raczej nie zastaniecie go o tej porze.

Nie próbowaliśmy go szukać. Może powstał w nas niepokój, a raczej troska. Co dalej. Z tego końca świata. Jacyś ludzie, kobieta i mężczyzna wsiadali z samochodu. Pytamy:

- Wracacie państwo do Muszyny?

- Jeszcze nie teraz. Jeszcze chcemy pojechać trochę dalej.

Odchodzimy. Zaczyna padać. Coraz bardziej. Stajemy pod drzewem, wyjmujemy różańce i modlimy się. Nie upłynęło dużo czasu. Pewnie kilka minut. Zatrzymuje się samochód. Niezły. Pełny komfort. Nie pamiętam marki. Ci sami ludzie, z którymi rozmawialiśmy przed chwilą.

- Chcecie Panowie jechać do Muszyny? – pytają - Zrezygnowaliśmy z dalszej jazdy. Zaczyna padać i zepsuła się pogoda.

Pan Bóg nad nami czuwa. A pewnie Matka Boża mocno wstawia się za nami.

Wsiadamy. Różańce w naszych rękach zwróciły ich uwagę. Dlatego pytają co tu robimy. Opowiadamy.

- To pewnie będziecie chcieli nas nawracać?

- No, nie obawiajcie się odpowiadam. Nie będziemy nachalni. Nic na siłę.

- Jakby co, macie przygotowany grunt. Jesteśmy wierzący. Opowiadają swoją historię. Przeszli swoje. Zaczynamy czuć się swojsko. Wśród swoich. Właściwie to przez cały czas czuliśmy się "swojsko". Bezpieczni. Pod parasolem Bożym. W każdej sytuacji. Przyjmowaliśmy z pokorą i cierpliwością to, co zsyłał nam Pan Bóg. Ostatnia noc utwierdziła nas po raz kolejny, że On jest z nami. Ale dobrze jest spotkać ludzi wierzących. Ich przysłał Bóg do nas. Aby nas wesprzeć. Byli, jak dobrze pamiętam z Łodzi. Rozmawialiśmy wymieniając się doświadczeniem Boga. Pewnie my dla nich byliśmy także jakąś Bożą niespodzianką.

- Dokąd właściwie podążacie? Jaki kolejny cel?

- Muszyna i dalej Powroźnik.

- No to was tam zawieziemy, do Powroźnika. Nigdzie się nam nie spieszy.

- O, to świetnie. Będziemy wdzięczni.

Dzięki Ci Boże. Ty zsyłasz wsparcie w chwili najbardziej potrzebującej. Jak staliśmy pod drzewem, padał deszcz. Wszystko wyglądało kiepsko. Co dalej? Pytaliśmy się w myślach. A teraz nadal pada, ale my siedzimy w ciepłym, luksusowym samochodzie. Tyle kilometrów nadgonimy. Dojeżdżamy do Powroźnika. Wsiadamy. Żegnamy się. Obiecujemy modlitwę. I za nich nadal się modlę. Mam jakieś przeczucie, że spotkamy się jeszcze, przynajmniej z niektórymi osobami, których spotkałem podczas tej drogi. Może i ich spotkamy jeszcze kiedyś?... Kościół w Powroźniku - była cerkiew. Parafia Św. Jakuba Młodszego Apostoła w Powroźniku. Podobna sytuacja do poprzednich, wchodzimy, klękamy wyciągamy różańce modlimy się. Z tę parafię. Za tych ludzi z parafii. Za księży. Z naszych braci z Neokatechumenatu. Bo oni

wspierają nas mocno. Modlą się, gorąco w to wierzymy. Siła modlitwy. I w tym miejscu dziękuję wszystkim, którzy modlili się za nas, za te misje. Za to rozesłanie. Dziękuję Stefano, Silvanie, Braciom z mojej wspólnoty i z Pierwszej Różańcowej w Lublinie.

**10.** Nie spieszymy się. Jesteśmy zdani na wolę Bożą. Nie wiemy co dalej. Co się wydarzy. Nie chcemy wpływać na dalszy rozwój wydarzeń. Takie przebywanie z Bogiem przy Tabernakulum. Wsłuchiwanie się w Jego głos. Teraz dopiero uświadamiam sobie, że my byliśmy poddani Woli Bożej. To nie jest łatwe na co dzień. Gdy jesteśmy zagonieni. Realizujemy swoje plany. Praca, dom, rodzina. Inne rzeczy. Zakupy, działka, wspólnota. Zawsze w pośpiechu. Kradniemy czas, pędzimy, gonimy, chcemy dogonić czas, przegonić czas. Nie ma czasu nigdy, na nic. Na to co wartościowe. Na Boga.

**"Czemu wydajecie pieniądze na to, co nie jest chlebem?"**

**I waszą pracę - na to, co nie nasyci?" (IZ 55,2)**

Tak postępujemy w naszym szarym życiu. W naszym normalnym codziennym życiu.

Tutaj, teraz jest inny czas. Czas "Kyrios". Od konwivencji w Puławach, do konwivencji w Puławach. Modlitwa w intencji tego rozesłania zaczęła się na długo przed Puławami. Modlili się katechiści. Modlili się bracia we wspólnotach. Modlił się Kiko, Ojciec Mario, Karmen. Inicjatorzy Drogi Neokatechumenalnej. Zostały wytoczone potężne działa modlitwy. Przeciw duchowym siłom zła. Z Puław zostało rozesłanych na całą Polskę i sąsiednie kraje 900 osób. 800 świeckich i około 100 Prezbiterów. Z ilu parafii, wspólnot. A przecież te parafie i wspólnoty cały czas nie ustawały w modlitwie. To jest cała armia Boga. A takie rozesłania miały miejsce prawie w tym samym czasie, na całym świecie. Tam przynajmniej, gdzie działa Droga Neokatechumenalna. Na „Poczekajkę” w Lublinie dotarł jeden z braci, którzy uczestniczyli w rozesłaniu w Stanach Zjednoczonych. Dzielił się swoim świadectwem podczas jednego ze spotkań. Jak mówił:

- Siedziałem w nocy na jakiejś ławce na jakimś przystanku. Otworzyłem brewiarz i czytam: „**Pan cię okryje swoimi piórami. Nie ulęknieś się strachu nocnego**”

Cały czas jesteśmy z Bogiem. Cały czas myślimy o Bogu. Cały czas modlimy się. Szukamy Go. Idziemy za Nim. Mówimy o Nim. Żyjemy Nim, w Nim. On jest w nas. My w Nim. Otwieramy się na Niego, a On działa. Mówimy Tak. I tym pozwalamy Mu na działanie. W nas, w naszym życiu. I dlatego dzieją się takie rzeczy.

Wstajemy z klęczek. Zaczynamy oglądać ikony i freski, polichromie. Zwracamy uwagę, że w cerkwi jest wydzielona specjalna kaplica na dokonanie przeistoczenia. Wierni uczestniczą w tym fakcie jakby oddzieleni. Ksiądz jest pośrednikiem, przez którego Jezus przychodzi w Eucharystii, w cudzie przeistoczenia chleba w Ciało Pańskie i wina w Krew Pańską. Ten ceremoniał, ten cud odbywa się w osobnej kaplicy. Tak ważne wydarzenie. Tak chronione. Tak podkreślone.

W momencie jak mamy wychodzić z kościoła, podchodzi do nas Pani kustosz.

- Przepraszam, mam prośbę. Czy mogłabym o coś poprosić? Widzę, że Panowie modlicie się. Tutaj rzadko kto, ze zwiedzających modli się. Dlatego zwróciłam na was uwagę.

- Tak. Modlimy się. Możemy w czymś pomóc?

- Mam kuzynkę. Siostrzenicę. Jest sparaliżowana od urodzenia. Nie chodzi, nie mówi. Czy mogę was prosić o modlitwę za nią?

- Tak. Oczywiście jak najbardziej. Będziemy się modlić. Jak ma na imię?

- Kamila - Kustoszka podała imię dziewczynki.

- A może moglibyśmy do niej pojechać? Czy daleko stąd mieszka?

- Och. To wspaniale. Niedaleko. Niedługo kończę pracę i przyjedzie po mnie moja siostra. Będziemy mogli tam pojechać, do mojej kuzynki.

- To świetnie. My w tym czasie poszukamy księdza Proboszcza.

Idziemy na Plebanię. Niedaleko kościoła. Dzwonimy do drzwi. Otwiera ksiądz Proboszcz. Opowiadamy co tu robimy. Prosimy o błogosławieństwo. Otrzymujemy je. Żegnamy się.

Przyjechała siostra kustoszki. Jedziemy do jej córeczki. Wchodzimy do domu. Zwyczajny, skromny dom. W łóżeczku leży dziewczynka. 10-12 lat. Przewraca rozbieranymi oczkami. Nie widzi. Uśmiecha się. Witamy się z nią. Zaczynam mówić do niej. Nasłuchuje. Kieruje główkę w moją stronę. Zaczynam opowiadać jej - tak po dziecinnemu, staram się mówić czule, jak do kochanego dziecka. Opowiadam jej co robimy z Markiem. Opowiadam o Panu Bogu, o Jezusie, o Aniołkach, o tym, że Pan Jezus szczególnie kocha takie dzieci jak ona. Że szczególnie ją kocha, bardzo ja kocha. Że tu jest z nami. Że jest tutaj przy niej – Kamili, cały czas. I Jego Aniołowie także są z nią cały czas i się nią opiekują. Żeby wiedziała, że nie jest sama, opuszczona, że Pan Jezus troszczy się o nią przez cały czas i jest z nią i jej rodzicami. I jego Aniołowie opiekują się ich rodziną. Ona jest szczególnym darem dla jej rodziców. Jest ona błogosławieństwem dla całej rodziny, dla jej rodziców. Jest szczególnym dobrem. Że to dzięki niej, jej rodzice się nawracają i zwracają się ku Bogu. Że oni bardzo ją kochają. Mówię, że wszyscy ja kochają. Pan Bóg, Jezus, Maryja, Aniołowie. I wszyscy ludzie ja kochają. Odmówiliśmy wspólnie "Ojcze Nasz". Był też ojciec dziewczynki. Jak dobrze pamiętam Łukasz. I rodzeństwo. Wspólna modlitwa. Bardzo mocna. Chciałem jeszcze coś więcej powiedzieć w czasie modlitwy. Brakowało mi słów. Ta nasza obecność była modlitwą. To, że przyjechaliśmy tutaj, rozmawialiśmy z dziewczynką. To była modlitwa. Słuchała skupiona. Uśmiechała się, przewracała oczkami. Wiedziała, że dzieje się coś wspaniałego, dobrego, radosnego. Jezus mówił: "pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie". Zachęciliśmy wszystkich do modlitwy wzajemnej za siebie. Modlę się za nich do tej pory. Przypomniały mi się słowa Stefano. Nie próbujcie uzdrawiać. Abyście nie wystawiali Pana Boga na próbę. Nie wiem, jak Jezus zadziałał w życiu tej dziewczynki, w życiu tej rodziny. Sam fakt, że byliśmy tam, był objawieniem się Boga w ich życiu. Zapraszając nas, zaprosili Samego Boga do swojego życia. Jestem teraz pewny, że Bóg ich uzdrowił. Niekoniecznie były to uzdrowienia ciała, ale na pewno uzdrowił ich życie. Tak samo Bóg zadziałał w życiu Józefa i jego rodziny, których odwiedziliśmy w drodze z Milika do Złockiego. Może kiedyś będę mógł potwierdzić to w co wierzę. Nie wiem, jak wyglądała sytuacja w rodzinie Józefa. Może to, że on był chory to nie był ich największy problem. I tu, w rodzinie tej dziewczynki, jej zdrowie, to że jest sparaliżowana, to nie jest największy problem. A właściwie te ich niedomagania i choroby nie są problemami, a błogosławieństwami. Każde cierpienie jest błogosławieństwem.

Mama (Krystyna) i ciocia dziewczynki (Pani kustosz, Daria), zaoferowały się, że podwiozą nas do następnego celu naszej drogi. Do Tylicza. Rozmawialiśmy jeszcze w czasie drogi. Jak mówiły same, paraliż córki zmobilizował jej matkę do działania. Zabrała się do wytwarzania różnych drobiazgów na szydełku i na drutach i zaczęła te wyroby sprzedawać. Jej ojciec Sebastian, leczy jednak rany w alkoholu. Nie wytrzymuje bólu. Poprosiliśmy ich o cierpliwość i wytrwałość, a przede wszystkim, aby oddawali to

wszystko Panu Bogu i żeby się dużo modlili. Obiecaliśmy, że będziemy się za nich modlić. I do tej pory modlę się za nich.

**„21 Kiedy Jezus przeprowił się z powrotem łodzią na drugi brzeg, zebrał się przy Nim wielki tłum. Zatrzymał się nad jeziorem. 22 Przybył tam do Niego jeden z przełożonych synagogi, imieniem Jair. Gdy Go zobaczył, padł Mu do stóp 23 i żarliwie Go prosił mówiąc: "Moja córeczka umiera. Przyjdź i połóż na nią ręce, aby uszła śmierci i żyła". 24 Poszedł z nim. Towarzyszył Mu wielki tłum i pchał się na Niego ze wszystkich stron (...) 35 Gdy On to mówił, przyszedli z [domu] owego przełożonego synagogi i powiedzieli: "Twoja córka umarła. Po co jeszcze trudzisz Nauczyciela?" 36 Jakby nie słysząc przekazanej wiadomości, Jezus powiedział do przełożonego synagogi: "Nie bój się, bylebyś wierzył". 37 Nie pozwolił nikomu towarzyszyć sobie, z wyjątkiem Piotra, Jakuba i Jana, brata Jakuba. 38 Weszli do domu przełożonego synagogi. Usłyszał tam wrzawę, płacz ludzi i wielkie lamentowanie. 39 Po dojściu do nich powiedział: "Po co zawodzicie i płaczecie? To dziecko nie umarło, lecz śpi". 40 Wyśmiewali Go za to, a On usunął wszystkich, a potem zabrał z sobą ojca tego dziecka, matkę i tamtych [trzech] i wszedł tam, gdzie znajdowało się dziecko. 41 Wziął dziecko za rękę i powiedział do niej: "Talitha kum", to znaczy "Dziewczynko, nakazuję ci, wstań". 42 Zaraz dziewczynka wstała i chodziła. Miała już bowiem dwanaście lat. Na to obecni osłupieli w wielkim zdumieniu. 43 A On stanowczo im nakazał, że nikt o tym nie ma się dowiedzieć. Poleciał też dać jej jeść.”**

**(Mk 5,21-24, 35-43)**

Tylicz. Miejscowość kojarzona z Krynicą Górską. Położony niedaleko Krynicy, około 10 km. Wróciły wspomnienia z młodości. Byłem tu na zimowisku w czasach liceum. Zimą 1980 roku. 37 lat temu. Kawał czasu. Sporo się zmieniło. Tym bardziej, że była wtedy zima. Dużo jednak pamiętam. Była rozróżba podczas dyskoteki. Miejscowi zaatakowali przyjezdnych z Warszawy. Młodych takich jak my. Podobno takie ataki na Warszawiaków były tu bardzo częste. Idziemy do kościoła. Nowy, wybudowany po czasach, kiedy byłem tu poprzednio. Odmówiliśmy różaniec. Idziemy do księdza Proboszcza. Przyjmuje nas w drzwiach, spieszy się na mszę św. My byliśmy na mszy jeszcze w Muszynie, rano, u sióstr Franciszkanek. Prosimy o Błogosławieństwo. Ks. błogosławi nas. Zaczynamy iść w kierunku Krynicy Górskiej. Opuszczamy Tylicz. Zostawiamy zabudowania. Idziemy ulicą prowadzącą przez las. Zaczyna padać. Niemrawo na początku. Potem coraz mocniej i mocniej. Wyciągamy nasze płaszcze nieprzemakalne. Tak się przynajmniej nazywały. Pada i pada. Nie jest to jakaś ulewa, ale normalny solidny deszcz. Zaczyna wdzierać się wszędzie. Moje dziurawe adidas szybko przemokły. Cała drogę do Krynicy "ciachotało" mi w butach. A droga do Krynicy strasznie się dłużyła. Nie pamiętam już czy modliliśmy się podczas tej drogi. Piękna droga przez las. Od samego Tylicza do Samej Krynicy. Ogromne świerki i inne drzewa iglaste. Stały po obu stronach drogi, dumnie w swojej zadumie i wielkości, dostojeństwie. Ten deszcz, lekka mgła półmrok, zachmurzenie dodawały dostojeństwa scenerii. Drzewa stały tutaj od dziesięcioleci. A może stuleci. W nich jest także wielkość Boga. Taka powaga. Taka Moc. Machaliśmy do dziesiątek samochodów. Nikt się nie zatrzymał. Płaszcz cały czas obsuwał się, musiałem go poprawiać. Rozdarł się, więc musiałem go tak poprzekręcać, aby zasłonić powstałe przez rozdarcie otwory. Ale tu, gdzie okrywał mnie płaszcz rzeczywiście nie dostała się woda. Dostała się jednak do butów dziurawych. Do nogawek od kolan w dół. Długo trwał ten marsz w czasie deszczu od Tylicza do Krynicy. Deszcz przestał padać dopiero jak dochodziliśmy do Krynicy. Nie mogliśmy się przebrać. Nie mieliśmy w co. Mariusz przynajmniej miał sucho w butach. Jego trampy nie przemokły. Marzyłem o ciepłym prysznicu, zmianie butów i skarpetek. Nie było nam to dane. Może trochę na nasze życzenie. Czekaliśmy na prezent z nieba. Widzieliśmy drogowskaz do jakiegoś zakonu sióstr. Ale nie chcieliśmy korzystać znowu z pomocy sióstr. Chcieliśmy

uruchomić jakichś ludzi. Zapomnieliśmy o proszeniu. "Proście, a będzie wam dane". Mariusz opowiadał taką historyjkę. Siedzi człowiek na dachu domu podczas powodzi i się modli. Panie Boże ześlij mi jakąś pomoc. Podpływa ktoś łodzią. Wsiada Pan? Nie, ja czekam na pomoc od Pana Boga. I tak podpływały łodzie kilkakrotnie. Człowiek odmawiał, bo czeka na interwencję z nieba. Dlaczego Boże nie pomagasz? Odzywa się Głos z Nieba: Przecież już kilka razy wysyłałem łódź do ciebie, ale ty nie chciałeś skorzystać." Może te drogowskazy były taką interwencją Pana Boga, a my szukaliśmy innego miejsca. A może trochę chcieliśmy też mieć trochę trudności. Trochę wyrzeczeń i niewygód oddać Bogu. Nie chcieliśmy za bardzo działać. Czekaliśmy co dla nas przygotuje. Doszliśmy do jakiegoś kościoła. Weszliśmy do środka. Zaczęliśmy się modlić.

Po modlitwie, jak wyszliśmy z kościoła podeszła do nas kobieta. Ok 30 letnia. Prosiła o pieniądze. Zaczęła opowiadać. Ma dwójkę dzieci. Mieszka na jakiejś działce w altance. Teraz jest ciepło, ale nie mają pieniędzy i jedzenia. Mama jej popełniła samobójstwo w Wielkanoc, w tym roku. Nie mogąc znieść tego co robił jej ojciec. Gwałcił ją przez kilka lat. I jedno z jej dzieci jest prawdopodobnie także jej ojca. Ojcem drugiego jest mężczyzna, który przebywa obecnie w więzieniu. Zaczęliśmy jej opowiadać o Jezusie. O tym, że Bóg ją kocha, taką jaka jest. Że jej życie może się zmienić. Niech zacznie się modlić. Że Bóg może dokonać cudów w jej życiu. Mówiła, że chce pojechać do domu samotnej matki. Poparliśmy ten pomysł. Pomodliliśmy się za nią. W pewnym momencie któryś z nas powiedział:

Przecież mamy 5 zł. Te, co przeznaczone były na zakup zeszytu na notatki. Podarowaliśmy kobiecie te 5 zł. Pożegnaliśmy się, obiecaliśmy modlitwę. Zobaczyliśmy łzy w jej oczach. Wyściskała nas. Jesteście tacy dobrzy. Zobaczyliśmy promyk radości w jej oczach. Modlę się za nią do tej pory. Niech cię Bóg prowadzi i twoja rodzinę... Pamiętam, jak ma na imię. Ale nie będę ujawniał.

Zaczęliśmy iść chyba jakąś główną ulicą. Wielkość Krynicy była dla mnie zaskoczeniem. Wprawdzie dużo pamiętam z tego czasu, kiedy byłem na zimowisku w Tyliczu. Było dużo śniegu...

Krynica żyje. Ludzie w kawiarniach, na ulicach. Radośni. Weselą się. Przebywają tu na wczasach, wakacjach. Jedzą lody. My jesteśmy w innej rzeczywistości. Trochę im zazdrościłem. Tej bez troski. Tego wyluzowania. Tego komfortu. Wrócą do pokoi hotelowych, pokojów gościnnych, do wygodnych łóżek. Mogłem się odwrócić, zostawić tę wędrówkę, mogłem wsiąść w pociąg. Właściwie nie bardzo mogłem w tym momencie. Gdyż zrobiło się już po 20,00. Żaden pociąg ani autobus nie odjeżdża o tej porze. Ale mogłem podjąć decyzję, że to koniec. Przerywam wędrówkę. Przerywam rozesłanie. Ty Panie Boże prowadź innych. Ja już nie mam siły. Wracam do domu. Wierzę w Ciebie. Ale wracam do domu. Nie, nie podjąłem takiej decyzji. Byliśmy zmęczeni. Wyczerpani. Przemoczeni. Nie było bardzo zimno. Ale perspektywa nocy nie wydawała się zachęcająca. Zadzwoniliśmy jeszcze na plebanię jakiegoś kościoła. Głucho. Bez odpowiedzi. Co robimy. Robi się ciemno. A tu żadnej nadziei na nocleg po dachem. Przypominam sobie teraz, pisząc ten tekst o tym co powiedział Stefano, już po naszym powrocie do jednego z braci: "Szukaliście schronienia, miejsca do spania i pożywienia, prawda?" Ciekawie go ocenił, pomyślałem wtedy, nie bez złości. Jak on może? To my wypluwaliśmy z siebie flaki, a tu takie podsumowanie. Ale ten brat powiedział mi później: "Stefano miał rację tak było, my rzeczywiście szukaliśmy schronienia i pożywienia". Później ktoś dopowiedział. Nie pamiętam, czy to był Stefano czy Tomek: "Jezus Mówił: nie troszczcie się zbytnio o to co będziemy jeść, gdzie będziemy spać"

**"Nikt nie może dwom panom służyć. Bo albo jednego będzie nienawidził, a drugiego będzie miłował; albo z jednym będzie trzymał, a drugim wzgardzi. Nie możecie służyć Bogu i Mamonie. Dlatego powiadam wam: Nie troszczcie się zbytnio o swoje życie, o to, co macie jeść i pić, ani o swoje ciało,**

**czym się macie przyodziać. Czyż życie nie znaczy więcej niż pokarm, a ciało więcej niż odzienie? Przypatrzcie się ptakom w powietrzu: nie sieją ani żną i nie zbierają do spichlerzy, a Ojciec wasz niebieski je żywi. Czyż wy nie jesteście ważniejsi niż one? Kto z was przy całej swej trosce może choćby jedną chwilę dołożyć do wieku swego życia? A o odzienie czemu się zbytnio troszczycie? Przypatrzcie się liliom na polu, jak rosną: nie pracują ani przędą. A powiadam wam: nawet Salomon w całym swoim przepychu nie był tak ubrany jak jedna z nich. Jeśli więc ziele na polu, które dziś jest, a jutro do pieca będzie wrzucone, Bóg tak przyodziewa, to czyż nie tym bardziej was, małej wiary?**

**Nie troszczcie się więc zbytnio i nie mówcie: co będziemy jeść? co będziemy pić? czym będziemy się przyodziewać? Bo o to wszystko poganie zabiegają. Przecież Ojciec wasz niebieski wie, że tego wszystkiego potrzebujecie. Starajcie się naprzód o królestwo /Boga/ i o Jego Sprawiedliwość, a to wszystko będzie wam dodane. Nie troszczcie się więc zbytnio o jutro, bo jutrzejszy dzień sam o siebie troszczyć się będzie. Dosyć ma dzień swojej biedy". (Mt 6, 24-34)**

Bądź wola Twoja Panie Boże. Idziemy na dworzec. Tam przynajmniej będzie dach. Nie było. Poczekalnia jest zamykana na noc, aby bezdomni nie przychodzili tak nocować. Mogliśmy się przekonać, jak czują się bezdomni. Usiedliśmy przy budynku, pod latarnią. Aby mieć światło do modlitwy brewiarzowej. Odmówiliśmy kompletę. Znaleźliśmy lepsze, szersze ławki. Założyliśmy wszystkie ubrania na siebie. Próbowaliśmy usnąć. Nie było łatwo. Spodnie od kolan w dół mokre. W butach mokro. Trochę drzemałem. Często się budziłem. Znowu musiałem wstawać, aby się rozgrzać. Bieganie, gimnastyka. Tu nie było nic z romantyzmu i nastroju jaki odczuwałem dwie noce temu, w Żegiestowie, na poprzednim noclegu "pod chmurką". Tu modliłem się o cierpliwość i siły do przetrwania tego czasu.

Tak przetrwaliśmy noc. Nad ranem, pokonując senność i zmęczenie zaczęliśmy odmawiać brewiarz, Jutrznie. Po modlitwie nabraliśmy nieco sił. Przynajmniej rozbudziliśmy się. I zrobiła się pora, aby pójść do kościoła na mszę św. Było przed godziną 6,00 lub 7,00. Na nasze szczęście kościół otwierali wcześniej. Mogliśmy wejść. Ogrzać się. W środku było cieplej niż na zewnątrz. W czasie mszy walczyłem ze snem. Początkowo mieliśmy podejść do księdza odprawiającego, po mszy. Zaczęła się jednak modlitwa różańcowa. Coś nas zatrzymało. Maryja, nasza matka. Po modlitwie jakaś siła podniosła mnie z ławki. Zacząłem mówić do zgromadzonych ludzi. Było kilkanaście, może ok 20 osób.

- Jesteśmy misjonarzami, wędrujemy. Zostaliśmy posłani przez biskupa Mieczysława Cisło z Archidiecezji Lubelskiej, aby głosić Słowo Boże. Jesteśmy w drodze od kilku dni. Zaczęliśmy od Piwnicznej i dzisiaj jesteśmy tutaj z Wami. Chcieliśmy opowiedzieć o naszej misji.

- A to trzeba zapytać się proboszcza – odezwała się jakaś pani.

- Dobrze, zapytamy – odpowiedziałem.

- A gdzie go możemy znaleźć?

- Na plebanii.

Powiedzieli nam i zaczęli się rozchodzić. Nie chcieli słuchać. Została jedna kobieta. Jedna. Słuchała, zaczęła pytać o szczegóły naszej misji. Opowiedziała o swojej rodzinie. Prosiła o modlitwę. Zapraszała nas do siebie. Na poczęstunek lub nawet na nocleg, gdybyśmy nic innego nie znaleźli. Zapisała swój adres.

- Bardzo dziękujemy za zaproszenie. Jesteśmy w ciągłej drodze. Nie wiemy jeszcze co będziemy robić, Jak ułoży się dzień. Gdzie nas Bóg poprowadzi. Ale jak ułoży się tak, że pozostaniemy w Krynicy to

przyjdziemy, Obiecujemy modlitwę. I do tej pory modłę się za tę kobietę – Elżbietę i jej rodzinę. Udaliśmy się w kierunku plebanii.

- Jurek my nie jesteście misjonarzami - zaatakował mnie Mariusz.

- Jak to nie jesteście. To, że chodzimy, głosimy Chrystusa, że śpimy na dworze, nie zwracamy uwagi na niewygodę, wypluwamy z siebie flaki to się nie liczy?

- Nie jesteście misjonarzami. Powiedział ponownie z naciskiem Mariusz.

Strasznie uparty, zawzięty. Chciałem jeszcze coś powiedzieć, ale machnął ręką. Nie dał sobie wytłumaczyć. Nie dopuścił tłumaczenia. Nie, to nie. Wrzało we mnie. Ale nie chce gadać, to nie.

Do plebanii dotarliśmy wkurzeni na siebie. Jak nie jestem misjonarzem w tej chwili to kim, to co my tutaj robimy jak nie niesienie misji o Chrystusie? Myślałem złoszcząc się na Mariusza.

Ksiądz proboszcz nie chciał rozmawiać z nami. Wysłał najpierw Panią kucharkę, później jakąś siostrę zakonną. Pytały:

- Ale kim wy jesteście, o czym chcecie rozmawiać?

- Powiemy księdzu Proboszczowi. Czy nie może nas przyjąć?

- Nie, ksiądz obawia się. Różni się tu kręć.

- No to, Szczęść Boże.

Po wyjściu na zewnątrz Mariusz otrząsnął buty.

Teraz na spokojnie widzę, że w tych emocjach nie zależało nam na spotkaniu się z księdzem. Mogliśmy przecież wyjaśnić tej kucharce lub siostrze. Idziemy więc do kolejnego kościoła. Parafia Matki Bożej Nieustającej Pomocy w Krynicy. Trafiamy na mszę św. Znowu walczę ze snem. Przysypiam. Kilka razy. Po mszy idziemy do ks. Proboszcza. Wygląda groźnie, ale okazuje się dobroduszny, otwarty. Ksiądz Proboszcz chętnie nas słucha, zadaje pytania.

- Jedliście coś? Pewnie jesteście głodni - ocenia ksiądz.

Nie odzywamy się. Uświadamiam sobie, że jedliśmy wczoraj rano w Muszynie u sióstr Franciszkanek.

Ksiądz zwraca się do gospodyni:

- Proszę zrobić im coś do jedzenia. Najlepiej gotowaną kiełbasę.

Dzięki Panie Boże. W samą porę. Modląc się przed posiłkiem wypowiadamy słowa za księdzem:

„Dziękujemy Ci Panie za te dary...” Teraz zaczynam doceniać, za co dziękuję. Za te dary. Jak mamy na co dzień zapewniony posiłek, nawet nie doceniamy, ile jest warty. Nie myślimy o tym, że nie wszyscy mają zapewniony posiłek.

Rozmawiamy przy posiłku. Opowiadamy o naszej misji, o neokatechumenacie.

- Przydałaby się tu jakaś wspólnota. Jest taka potrzeba. Ludzie się garną. Coraz większe problemy mają.

Po posiłku prosimy o błogosławieństwo. Żegnamy się. Wychodzimy.



Znowu idziemy prawie przez całą Krynicę. Krynica żyje. Tętni. Mnóstwo kuracjuszy, turystów, wczasowiczów. Chodzą, zwiedzają, jedzą lody, cieszą się, radują. Wypoczęci, najedzeni. Widzę strumyk. Chcę obmyć twarz. Podchodzę bliżej wody. Nagle widzę zrywającego się węża. Chyba zaskroniec. Ucieka. Chowa się w jakąś dziurę w skałach. Czy to coś znaczy?...

W następnym kościele nie ma księdza Proboszcza. Wikarego prosimy o wodę do picia i błogosławieństwo. Ruszamy dalej. Idziemy w stronę granic miasta. Zatrzymujemy się nad jakimś strumieniem. Zdejmujemy buty, płuczemy skarpetki, moczymy nogi. Wreszcie ulga po wczorajszym deszczu i nocy. Do tej pory czuję jeszcze wilgoć a butach. Dajemy chwilę odpocząć nogom. Zakładamy świeże skarpetki. Odpoczywamy chwilę i ruszamy dalej. Do ostatniego Kościoła na skraju Krynicy. Zamknięty. Padamy na trawę. Kładziemy się. Jest trochę zasłonięta. Możemy się położyć. Odpoczywamy. Czujemy zmęczenie po nieprzespanej nocy i po trudach wędrówki. Sporo kilometrów w nogach już mamy. Sporo przed nami. Nie pamiętam, czy udało nam się zdrzemnąć. Modlimy się. Widzimy sąsiada koszącego trawę. Podchodzę, proszę o szklankę wody. Daje nam całą butelkę. Dziękuję. Ruszamy w drogę. Droga wylotowa z Krynicy w kierunku Nowego Sącza. Dosyć ruchliwa. Mamy nadzieję, że jakiś samochód zatrzyma się. Chcemy dotrzeć do Mochnaczki Wyżnej i Niżnej. Nie można na wprost. Nie chcemy skrótom. Nie wiadomo jaka droga. Idziemy przy ruchliwej ulicy poboczem. Musimy iść gęsiego. Jeden za drugim. Idę swoim tempem. Tak jest najlepiej - swoim tempem. Marek jakby zostawał w tyle. Jak idę wolniej jest mi niewygodnie. Żaden samochód nie chce się zatrzymać. Przechodzimy kilka kilometrów. Dochodzimy do krzyżówki. Jest tu jakiś zajazd, parking, jakiś stół z ławkami. Patrzymy na drogowskaz. Tu jest droga w kierunku Mochnaczki 20 km. No to ładnie. Niemożliwe, aby tam dzisiaj dotrzeć. Analizowaliśmy wcześniej plan naszej drogi. Zakładaliśmy dotarcie do krynicy na Niedzielę. Nie wierzyliśmy, że nam się uda. Udało się. Jakby w ostatniej chwili, w momentach strategicznych Bóg podstawił nam "swoje taksówki". Bez tych „podwózek”, za nic w świecie nie pokonalibyśmy tego dystansu, jaki przebyliśmy w tak szybkim czasie. Nie wierzyliśmy, że dotrzemy do tych wszystkich miejsc i parafii, które mieliśmy zaznaczone na mapie. Na razie nie jest źle, ale jutro wieczorem, powinniśmy dotrzeć w okolice Piwnicznej. Jesteśmy na Krzyżówce za Krynicą, na rozdrożu w kierunku Mochnaczki. Ta droga wydaje się mało uczęszczana. Taki koniec świata. Niemożliwe, aby ktoś tędy przejeżdżał i jeszcze nas chciał podwieźć. W planach mamy trasę: Mochnaczka Wyżna, Mochnaczka Niżna, Banica, Czarna, Berest, Kamianna, Ropa, Barcice, Rytro, Głębokie, Piwniczna. Na mapie widać, ile jest to kilometrów. Panie Boże Ty to prowadzisz. Niech się dzieje Twoja wola. Wyciągamy różańce. Jest ok 15,00. Modlimy się Koronką do Bożego Miłosierdzia. Kończymy modlitwę. I widzimy skręcający samochód na naszą drogę. Machamy. Zatrzymuje się.

- Można z Panem do Mochnaczki?

- Siadajcie.

Cud. Dzięki Panie Boże. Już sobie wyobrażałem te 20 kilometrów na piechotę i nocleg w lesie. Nie, tym razem Pan Bóg chciał inaczej. Jedziemy całe 20 km. Cieszymy się. To nas buduje. Bóg nas prowadzi. Wsiadamy gdzieś na rozdrożu.

**11.** Tak poradził pan, który nas podwoził, abyśmy wysiedli przy drogowskazie wskazującym drogę do najbliższego Kościoła. Domyśliliśmy się, że byliśmy gdzieś pomiędzy Mochnaczką Wyżną, a Mochnaczką Niżną. Na drogowskazie był napis podający liczbę kilometrów. Nie pamiętam dokładnie, ile. Rozglądamy się. Wspaniały, górski krajobraz. Gdzieś tam widoczne pojedyncze domy lub zabudowania, ustawione

wzdłuż ulicy. Zbocza gór porośnięte drzewami. Zobaczyliśmy strumień gdzieś w dole obok drogi. Było koło 16,00. Zapragnęliśmy się odświeżyć. Ostatni prysznic braliśmy w niedzielę rano w Muszynie. Strumień, taki górski potok szerokości ok 2 m. Woda krystalicznie czysta. Temperatura źródłana - niesamowicie zimna, orzeźwiająca, a jakże. Od ulicy osłaniały strumień gęste zarośla. Mogliśmy zażywać kąpieli nieskrępowanie. Osuszyliśmy się, przebraliśmy, ruszamy w drogę. Pod górę. Idziemy, idziemy, idziemy. Cały czas pod górę. Na początku droga asfaltowa, potem wyłożona jakimiś płytami betonowymi. Zaczął się las. Jakaś dziwna nieco sceneria. Drzewa, wysokie świerki. Po obydwu stronach drogi mnóstwo widocznych, wytryskujących źródełek. Nie wiem, czy one wytryskują tylko po deszczu. Wczoraj przecież nieźle padało. Wyglądały jak takie co dopiero powstały. Widoczne co jakiś czas powalone drzewa. Idziemy cały czas w górę. Kilka kilometrów marszu. Gdzieś niedaleko szczytu góry minął nas jakiś traktor. Nie widzieliśmy miejsca dla siebie, więc nawet nie próbowaliśmy prosić o możliwość podjechania. Na szczycie góry naszym oczom ukazał się wspaniały widok. Kojarzył mi się z "Dzikim Zachodem". Wszędzie góry, łagodne zbocza, pokryte lasami i łąkami. To wszystko oświetlone popołudniowym słońcem świecącym z tyłu, z zachodu, padającym na rozciągające się góry i tereny położone u ich podnóża - jakby prerie. Szliśmy z zachodu na wschód. Ale to wszystko w dalekiej dali. Przed nami droga w dół, ciągle przez las. Gdzieś w połowie zejścia zatrzymaliśmy się na odpoczynek. Położyliśmy się na jakiejś przydrożnej polanie. Pięknie, cicho i wspaniale. Leżymy, odpoczywamy, oddychamy czystym górskim powietrzem. Chłoniemy klimat, panujący nastrój, sielsko - anielski. Z dala od jakiegokolwiek cywilizacji. Jakby pojawił się jakiś dylizans, nie zdziwiłbym się za bardzo. Ruszamy dalej w dół. Idzie się dobrze. Łżej, bo w dół i droga równa, wygodna do marszu. Wyłożona płytami betonowymi. Dochodzimy do podnóża góry i wychodzimy z lasu. I ten krajobraz z "dzikiego zachodu" dopełniły pasące się na zboczach gór krowy. Mnóstwo krów. Całe stada po kilkudziesięciu sztuk, widoczne w kilku miejscach. Droga prowadzi nas poprzez pagórki. Trochę z górki, trochę pod górę. Widać jakieś domy, ale bardzo daleko. Niezły kawałek będziemy mieli do przejścia. Pojawiają się jakieś ogrodzenia zrobione z drutu. Idziemy dosyć długo. Wokół nas prawdziwa preria, jak z dzikiego zachodu. Zaczyna pachnieć krowami, mlekiem takim wiejskim mlekiem. Jak bardzo chciałbym napić się mleka, takiego prosto od krowy. Nikogo nie widać. Żadnego człowieka. Jak okiem sięgnąć góry, zbocza gór. Żadnej cywilizacji. Ale spotykamy w końcu jakąś kobietę. Ładna. Jak dobrze pamiętam ok 30 lat. Pytamy o drogę. Chociaż sami nie wiemy, dokąd mamy zmierzać. Czy tu jest jeszcze Mochnaczka czy już okolice Banicy lub Czynrej. Pytamy także o kościół. Kobieta pokazuje nam drogę. Po kilku kilometrach dochodzimy do kościółka. Przerobiona cerkiew. Tak piękna jak poprzednie. Wchodzimy do środka bocznymi drzwiami. W razie czego może tu przenocujemy. Przychodzi taka myśl. Wyjmujemy różańce. Zaczynamy się modlić. Po modlitwie opuszczamy kościół. Nie widać jakiejś plebanii, jakiegoś domu księdza. Przed nami zaczyna się wieś. Mówię do Mariusza:

- Dzisiaj musimy spać w jakimś normalnym miejscu. Mam dosyć spania pod chmurką na ławce. Czuję zniechęcenie spowodowane zmęczeniem i wyczerpaniem. Dzień zaczęliśmy na ławce dworca kolejowego, jeszcze w Krynicy. Chociaż nie bardzo widzę oddzielenie dzisiejszego dnia od wczorajszego. Taka jedna ciągłość czasowa. Wszystko dzieje się ciągle, bez żadnej przerwy, bez tej pieczęci jaką daje nocny sen. Tak dużo się wydarzyło. Tyle miejsc. Taka odległość. Taka droga pokonana. Panie Boże proszę Cię o normalny ludzki nocleg. O jedzeniu nie wspominam głośno, chociaż także proszę i o jedzenie. Nieśmiało. To mleko od krowy cały czas drażni moją wyobraźnię smaku i węchu. Wszędzie czuję zapach mleka. Pamiętam z dzieciństwa mleko z pianką. Zacerpnęte prosto z wiadra, prosto od krowy. Babcia z Łabuń i babcia z Polanówki raczyły nas, dzieciaki – swoje wnuki - takim właśnie mlekiem. „Kraj lat dziecinnych, on zawsze zostanie piękny i czysty jak pierwsze kochanie’... Jedliśmy jeszcze u tego księdza w Krynicy. Było wtedy koło godziny 11-12. Mariusz mówi:

- Kolej na ciebie, abyś pokazał Bogu, że umiesz prosić. - Do tej pory inicjatywę rozmów z ludźmi oddawałem jemu.

- Dobra - mówię. Chociaż, co ja mam mówić tym ludziom? Ja mogę mieć pecha.

Wchodzimy na podwórko jakiejś posesji. Zjawia się mężczyzna w średnim wieku. Pytamy o nocleg. Krótko wyjaśniamy co tu robimy. Idziemy z Misją. Ewangelizujemy. Nie jesteśmy Jehowymi. Jesteśmy z Kościoła Katolickiego.

- Tutaj u mnie, nie ma warunków. Ale idźcie do Pani Sołtys, to tamten dom, po drugiej stronie ulicy.

- Dziękujemy, spróbujemy tam.

Wchodzimy na podwórko pani Sołtys. Zjawia się kobieta. Około czterdziestoletnia. Pewna siebie, ale dająca poczucie bliskości. Dobroci. Uśmiecha się. Mądra twarz i ładna. Patrzy nam w oczy jakby nas znała. W jej oczach widać coś jakby mówiła: " No jesteście w końcu. To wy. Czeka mi i czekam". I znowu myśl w moim sercu: " czy ona widzi nas, czy kogoś innego?" Jakby zobaczyła wysłanników z nieba. Ale mówi, tak jakby na próbę, jakby chciała odwlec jeszcze jakąś decyzję. Bo ja już "wiedziałem", że tutaj będziemy nocowali. Mówimy krótko, kim jesteśmy i z czym idziemy. Z Dobrą Nowiną.

- Idźcie spytajcie jeszcze u tej kobiety. Ona ma pokój dla wczasowiczów. Jak nie będzie chciała was przyjąć to wróćcie tutaj.

I wróciliśmy dosyć szybko.

Pani Sołtys zaprosiła nas do domu. Posadziła nas w kuchni. Będziecie musieli chwilę poczekać. Muszę jeszcze dokończyć obrządek. Jak chcecie pooglądajcie telewizor. Nie bardzo ciągnęło nas do oglądania programu w telewizji.

- Napijecie się mleka?

- Pewnie prosto od krowy?!! Jak najbardziej poprosimy!!! Bardzo, bardzo chętnie!!! - Powiedziałem.

- To mleko czułem nosem od kilku godzin. Jak tylko zobaczyliśmy te stada krów na zboczach.

Przyniosła garnek chyba 4 litrowy. Wypiliśmy z łapczywością wszystko. Zostawiła nas. Po kilkunastu minutach powróciła.

- Będziecie jedli jajecznicę na boczku? zapytała.

- Z wielką przyjemnością wykrzyknęliśmy niemal.

Nie oddam tego co czuliśmy, jak czuliśmy. Nie muszę. Każdy wie, jak smakuje jajecznica po ciężkim gorącym dniu w lecie, na wsi. Tego można doświadczyć tylko w Polsce. Tylko na Polskiej wsi. Jeszcze można. Kto tego nie doświadczył niech się spieszy, bo może nie zdążyć. Kobieta poszła na górę przygotować nam spanie. W międzyczasie zjawiał się młody chłopak. Syn. Jak się okazuje ma brata bliźniaka. Pytamy także o męża kobiety. Pracuje cały czas gdzieś na wyjazdach W Polsce.

- To jak Pani sobie tutaj radzi sama na gospodarstwie.

- No, muszę jakoś.

Poszliśmy na górę. Prysznic, modlitwa kompletą i spać. Najedzeni, umyjni, świeża pościel, wygodne łóżko. Dach nad głową. Serce i gościnność gospodyni. Ona nie mogła inaczej. Nie potrafiłaby.

Dzięki Ci Panie Boże. Jesteś wielki w sercu tej kobiety. Błogosław jej i jej rodzinie. Dobre samopoczucie zwiększała dodatkowa świadomość, że jutro przed nami ostatni dzień wędrówki. I ostatnia noc.

Długa jeszcze droga przed nami. Miejsc do zaliczenia wiele, ale dystans także długi. Tylko Ty Panie Boże możesz sprawić, że zdążymy odwiedzić wszystkie miejsca. To jest po ludzku niemożliwe.

Obudziliśmy się dosyć wcześnie. Chcieliśmy odmówić Jutrznę przed śniadaniem. Potem pyszne śniadanie. Kawa. Pani Sołtys zaproponowała, że podwiezie nas do kościoła. Przed wejściem do samochodu zmówiliśmy jeszcze wspólnie "Ojcze nas". Podziękowaliśmy za wszystko. Obiecaliśmy modlitwę. Modłę się do tej pory. Za Panią Sołtys, jej męża i jej synów.

Ksiądz proboszcz w Banicy, w Parafii Świętych Kosmy i Damiana, wydawał się być miło zaskoczony naszą obecnością na mszy porannej tutaj na takim odludziu. Po mszy zaprosił nas na kawę. Opowiedzieliśmy krótko naszą historię i wrażenia z naszej drogi. Myślę, że miłe dla niego były takie odwiedziny. Kościół pamięta o nim. Bóg Pamięta o nim. Podarował również pocztówki z widokami okolicy. Udzielił nam również Błogosławieństwa na drogę. Modłę się i za księdza Proboszcza z Banicy do tej pory. Prawie od samego budynku kościoła biegła droga asfaltowa wspinająca się pod górę.

Naszym kolejnym celem, była Parafia w Czirnej. Parafia Niepokalanego Serca Najświętszej Marii Panny. Po przejściu może dwóch kilometrów zatrzymał się samochód. Całe szczęście, bo zaczęło padać. Modłę się do dzisiaj, za tego Pana, który nas podwiózł. Dzień był pochmurny. Ponury. Taki na zakończenie naszej drogi. Na pożegnanie. Spokojny, cichy. Parny. Lekka mgła unosiła się nad polami i zboczami.

Ksiądz Proboszcz w Czirnej również zaskoczony. I tutaj ogarnęła nas radość ze spotkania. Widać było to w oczach tego księdza. Jakby mówił: Przyszedłeś i do mnie Panie Jezu. W tych dwóch wędrowcach. Tu na koniec świata. Na to odludzie. Do mnie i do mojej Parafii. Ogłoszę tę Dobrą Nowinę moim Parafianom, którym powiem, że Pan Bóg pamięta o nas. Żyje i przychodzi do nas.

Kolejna kawa i poczęstunek. Rozmowa.

- Podwiozę was do Berestu. Znam dobrze tamtejszego proboszcza. Na pewno się ucieszy z odwiedzin.

Panie Boże. Dzięki. Idzie całkiem nieźle. Jest jeszcze przed południem, a Ty podstawiasz nam swoją trzecią podwózkę.

Krętymi drózkami wśród pagórków docieramy do Berestu. Parafia Matki Bożej Nieustającej Pomocy w Bereście. Kościół zamknięty. Dzwonimy na plebanię. Otwiera nam ksiądz Proboszcz z Berestu. Poznaje proboszcza z Czirnej. Zaprasza nas trzech do środka. Mały poczęstunek. Próbuje miód z jego pasieki. Pyszny. W całym domu fabryka miodu. Ramki, siatki, naczynia, różne narzędzia, urządzenia. Od razu widać, że pszczoły i miód to jego pasja.

Piękny widok. Piękne świadectwo. Ksiądz pasjonat. Kościół, postuga kapłańska i tak żywy kontakt z naturą. Jakby zbratał się z tą naturą i tymi pszczołami. Pełen życia, pełen radości. Wysłuchuje także naszych opowieści. Te rozmowy z poszczególnymi proboszczami z każdego z tych kościołów. Każda inna, bo każdy ksiądz inny i człowiek inny. Ale nasze rozmowy były niebanalne. Nie grzecznościowe. Każdy z tych księży odczuwał jakby powagę wydarzenia. Wzruszony, ale i jakby otrzymywał potwierdzenie, że ta

praca w tej właśnie Parafii tu z dala od cywilizacji jest potrzebna i nie idzie na marne. My z Mariuszem także otrzymywaliśmy odpowiedź na sens naszej wędrówki. I ten Proboszcz z Berestu jakby się na chwile zadumał. Poruszyły go nasze opowieści. Nasza misja.

- Podwiozę was dalej tam, gdzie będziecie chcieli.

- Na prawdę?! To świetnie.

Panie Boże to czwarty raz dzisiaj. No tak, Ty wiesz, że się spieszymy i wszystko organizujesz.

- Ale kolejny punkt to Kamianna. Parafia Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny w Kamiennej. Dosyć daleko?

-Nic nie szkodzi. Damy radę. Mamy już wsiadać do samochodu i nagle ksiądz ożywia się, odzywa się podnieconym głosem. Musicie przejechać się moim rowerem. Nie wyjedziemy, dopóki nie spróbujecie. Mariusz pierwszy dosiada wehikułu.

- Co w nim szczególnego? - pyta.

- Spróbuj, zacznij kręcić pedałami.

I nagle okrzyk zdumienia.

- On sam jedzie!!! O kurczę!

Włączył się samoczynnie mechanizm elektryczny, uruchamiający napęd roweru. Pedałujesz i czujesz wspomaganie siłowe. Nieźle. Nieźle jest to, jak ten ksiądz się tym cieszy. Jest w nim tyle radości życiowej. Tej Bożej radości. On zaraża tą radością. Ja też spróbowałem - jazdy na tym elektrycznym wehikule.

Pożegnaliśmy się z księdzem z Czynnej. Wsiadamy do samochodu księdza z Berestu. Jedziemy dosyć długo. W końcu dojeżdżamy do Kamiennej. Żegnamy księdza Proboszcza, dziękujemy za podwiezienie. Wchodzimy do kościoła w Kamiennej. W międzyczasie nadciągnęło jeszcze więcej chmur. Niebo stało się ciemne. Prawie czarne. Granatowe. Coraz bardziej pada. Niedobrze. Dostaję dreszczy na wspomnienie drogi z Tylicza do Krynicy. Zaczynamy się modlić. Modlimy się za tych, których spotkaliśmy. Księży i świeckich. Tych którzy nam pomogli i tych, co nie mieli czasu. Modlimy się za tę Parafię - Kamianną. Omadlamy całą parafię. Także ziemię i teren parafii. Prosimy o Błogosławieństwo Boże dla całego tego obszaru, po którym wędrujemy. Omadlaliśmy wszystkie miejsca, w których byliśmy. Kiedyś pewien ksiądz, misjonarz z Afryki, gościł w naszym kościele Matki Bożej Różańcowej w Lublinie. Mówił:

- Tutaj w naszym kraju, w Polsce mamy wszystko omodlone. Wiele razy. Ksiądz święci - błogosławi parafie, domy mieszkania, firmy, ale także pola i naszą ziemię, nawet samochody. I to jest bardzo ważna czynność. To jest bardzo ważne. To nie jest nic nieznaczący rytuał. Wszelkie siły zła są przegonione. Tam w Afryce wiele jest jeszcze takich obszarów nie pobłogosławionych, nie poświęconych. Tam zło ma nadal dostęp. Pamiętam świadectwo Lecha Dokowicza. Także był na rekolekcjach w naszej Parafii. Opowiadał jak uciekał z Niemiec. Jak był goniony przez złego. Przez całe Niemcy. To zło się urealniało w czasie jego ucieczki. Odmówił współpracy przy wykorzystywaniu sił zła. Zorientował się, że wciągany jest w demoniczny świat muzyki techno. Miał przed sobą karierę, sławę pieniądze. Kontakty ze znanymi ludźmi filmu i muzyki. Ale zobaczył, że to był zły świat. Dopiero jak dotarł do granicy Polski, poczuł ulgę. Ta ziemia, Polska ziemia, omodlona tyłoma różańcami przez nasze Babcie i naszych ojców. Tu jest

poświęcona ziemia. Lech Dokowicz wie co robi, organizując modlitwę różańcową do granic. Na naszych granicach.

Wychodzimy z kościoła. Zakładamy płaszcze przeciwdeszczowe. Ja zakładam to co z niego zostało. Ale owijam się tym płaszczem jak mogę, aby jak najmniej kropel wdzierало się do suchego ubrania.

Co dalej? Idziemy. Pada i pada i pada. Jest ciemno. Niebo szczelnie zachmurzone. Na dobre zaciągnięte chmurami. Nie ma nadziei, że przestanie szybko padać. Patrzyliśmy na mapę. Mamy do wyboru albo kierunek Nowy Sącz. Jest w kierunku Piwnicznej, naszej stacji docelowej. Albo wybierzemy przeciwny kierunek i podążymy do Ropy. Tej Ropy - tak oddalonej. Nad którą zastanawiali się odpowiedzialni z Tarnowa. Czy przydzielić Ropę nam, czy innej parze. Ty Panie Boże prowadź. Wybieramy Ropę. Tam mamy podążać. Idziemy jakiś czas, wyciągamy różańce i zaczynamy się modlić. Słychać za nami nadjeżdżający samochód. Machamy. Zatrzymuje się. W środku młoda kobieta. Około trzydziestoletnia.

- Dzień dobry – mówimy - możemy się zabrać?

- Tak. A gdzie chcecie jechać?

- Docelowo do Ropy, ale może chociaż w tamtym kierunku moglibyśmy podjechać?

- No dobrze, może będę mogła zawieźć was do Ropy. Zobaczymy.

"Dzięki Panie Boże. To piąty raz dzisiaj".

Wsiadamy. Słuchamy. Mówi kobieta. Nie pamiętam, kiedy powiedziała swoje imię Joanna. Podaliśmy swoje imiona.

- Co tu robicie? Dlaczego do Ropy? Zapytała, ale nie od razu dała nam odpowiedzieć. Zaczęła opowiadać o sobie.

- Nie wiecie z kim jedziecie.

Jest tu, niedaleko na obozie, jakimś plastycznym - jako prowadząca. Ma grupę młodzieży. Mieszka w Krakowie. Sama jest plastyczką i aktorką. Robi wiele rzeczy. Bardzo wszechstronna. Pociąga ją wiele. Ma wiele zainteresowań. Jest przewodniczką na Santiago de Compostela. Prowadzi pielgrzymki. Mogliście mnie widzieć w kilku serialach. Miałam jakieś role. Dużo opowiada. Nie przerywamy, bo ciekawie mówi. Pasjonatka wszystkiego, za co się zabierze.

- Jakiś ksiądz powiedział mi, że powinnam iść do Santiago na kolanach. „Jak ksiądz pójdzie pierwszy przede mną, to ja pójdę za księdzem”.

Określiła się jako wierząca i/ale poszukująca. Nie kpi z kościoła i z wiary. Ale z tej prawdziwej. Podchodzi do wiary poważnie. Chociaż poszukuje. Opowiedziała o swojej działalności artystycznej.

- Ale powiedzcie w końcu coś o sobie.

- Moglibyśmy powiedzieć, że ty także nie wiesz z kim jedziesz.

Nie chcieliśmy, żeby zabrzmiało to pysznie. Opowiedzieliśmy o naszej misji. Chyba poruszyło ją to, że jesteście bez pieniędzy i jedzenia. Niespokojna dusza. Natychmiastowa reakcja. Słucha rozmówców.

- To pewnie głodni jesteście? - Zatrzymała samochód - Muszę zawrócić. Zapomniałam o czymś. Potem zawiozę was do samej Ropy. Nie przejmujcie się.

Wróciliśmy kilka kilometrów. Podjechaliśmy pod jakiś dom. Zaprosiła nas do środka. Zrobię wam herbatę lub kawę, co pijecie? Usiedliśmy przy stole. W takim jakby holu - living roomie.

Była tu grupa kilkunastu młodych ludzi. Mieli jakieś zajęcia plastyczne. Była z nimi jeszcze jakaś kobieta. Magda przyniosła nam kawę i kanapki.

- Zrobię wam kanapki na drogę.

- Nie, nie. Dziękujemy. Nie możemy zabierać nic na drogę.

- To może jakieś pieniądze?

- Nie, nie, także musimy podziękować. Doceniamy troskę, ale Pan Bóg troszczy się o nas cały czas. Niczego nam nie brakuje. Nawet do Ropy nas zawiezie. A wcale nie wierzyliśmy, że tam dotrzemy. To kawał drogi, a ty nas zawieziesz. To na prawdę bardzo dużo, z twojej strony.

- No to jedzcie tutaj. Najedzcie się do syta.

Zjedliśmy sporo. Wstaliśmy na prawdę najedzeni.

- Chcielibyśmy pomodlić się z wami. Tak w wolności. Nie zmuszamy nikogo. Kto chce.

Odmówiliśmy wspólną modlitwę. Niektórzy dołączyli. Pożegnaliśmy całą grupę. Podziękowaliśmy za gościnę i poczęstunek. Droga zajęła nam ponad godzinę. Trochę kluczyliśmy. Ale w końcu dotarliśmy do Ropy. Joanna podjechała pod sam kościół. Ropa Parafia pw. św. Michała Archanioła. Niestety był zamknięty. Weszliśmy do przedsionka.

- Ok. To my tutaj zostaniemy. Pomodlimy się i ruszymy dalej. Dziękujemy za wszystko co dla nas zrobiłaś. Będziemy się modlić za ciebie. Modlę się do tej pory.

- Na serio nic nie potrzebujecie?

- Dziękujemy.

Jakoś tak smutno było się rozstawać. To nasze spotkanie takie niedokończone. Rozmowa niedokończona. Czuję przez skórę, że nadajemy na tych samych falach. Może kiedyś dokończymy... Myślę, że daliśmy Joannie coś. Od niej też dużo dostaliśmy. Nie chodzi tylko o jedzenie, picie, transport. Chodzi o coś więcej. Dużo więcej.

Uścisnęliśmy sobie ręce na pożegnanie.

- Jedź z Bogiem.

Zaczęliśmy się modlić w przedsionku kościoła. To jest także ważne, aby przyjść pod kościół. Nawet jak jest zamknięty, jesteśmy bliżej Jezusa. Jest w środku, w tabernakulum. Dlatego także w Puławach staliśmy przed bramą zamkniętego kościoła i odmawialiśmy różaniec. Wiedzieliśmy, że kościół będzie zamknięty, ale jechaliśmy, aby modlić się pod kościołem, aby być bliżej Jezusa. Pan Jezus jest wszędzie. Poza kościołem także. To prawda. Ale w kościele, w najświętszym sakramencie jest Go więcej. Ogromnie, dużo więcej. Dotyka nas. Ogarnia nas. To ważne, aby przychodzić jak najbliżej kościoła. Jak najbliżej Jezusa.

Modliliśmy się za Ropę, Parafię, Księżę i Parafian, za Joannę. Wiem, że mieliśmy tutaj dotrzeć do Ropy. Pan Bóg walczył o to bardzo, abyśmy to dotarli. I w każde poprzednie miejsce. Wszystkie parafie były i są bardzo ważne dla Boga. Nawet tam, gdzie nie zastaliśmy nikogo. Pan Bóg działa. Życie się toczy swoim rytmem. "Dziękuję Ci Panie Boże za wszystko co dla nas robisz. Że Jesteś zawsze z nami".

Doszliśmy na krzyżówkę – tzw. Rogatkę, w Ropie. Stanęliśmy przy przystanku autobusowym w kierunku Nowego Sącza. Przy stacji benzynowej. W międzyczasie trochę się przejaśniło. Przystało padać, ale w butach miałem mokro. Chwilę później znowu jednak wróciły opady. Mogliśmy chować się pod dach przystanku, ale wtedy nie moglibyśmy machać na samochody. Staliśmy dosyć długo. Znowu zacząłem tracić cierpliwość. Przez tę wodę w butach. Nie było to przyjemne. Cierpiałem. Tak bardzo pragnąłem wysuszyć nogi i zmienić buty. "Czy Ty Boże pragniesz tego mojego cierpienia?" " Niech się dzieje Twoja wola." Zatrzymał się w końcu jakiś samochód. Nie myślałem wtedy, że to już szósty raz tego dnia.

- Gdzie Panowie chcą jechać? - odezwał się Mężczyzna zza kierownicy.

- Najchętniej do Nowego Sącza.

- Siadajcie, proszę.

Kilkanaście minut ciszy. Przerwał ją Mariusz. Zaczął rozmawiać z Mężczyzną. Był wierzący, ale ostatnio ma żal do Pana Boga. Jego syn umarł. Nie może zrozumieć, dlaczego. Nie odzywam się. Słucham.

**12.** Przypomniałem sobie powieść "Chata", Williama Paula Younga. Opowieść o zrozpaczonym ojcu - Mackenzim, którego najmłodsza córka - Missy, została porwana i brutalnie zamordowana. Bohater spotyka Boga -Trójcę Świętą, pod zaskakującymi postaciami. Bóg Ojciec przedstawiony jest jako gruba, dobrotliwa murzynka, Jezus jako żydowski wyrobnik i Duch św. pod postacią drobnej dziewczyny azjatyckiej. Autor próbuje odpowiedzieć, dlaczego Bóg dopuszcza w naszym życiu do takich tragedii i w jaki sposób można próbować przejść przez taką próbę. Historia ta została mi podsunęta przez Boga jako odpowiedź dla Pana, który nas wiozł, który borykał się z rozpaczą, po utracie swojego syna. Podałem mężczyźnie tytuł książki. Zaproponowałem, aby przeczytał. Nie wiedziałem, jak możemy mu pomóc. Ale chciałem. Wiedziałem, że nasze spotkanie nie było przypadkowe. Było zaaranżowane przez Boga. Aby poruszyć każdego z nas, abyśmy skierowali nasze myśli i serca ku Bogu. Bo jak w życiu dochodzimy do ściany, której już sami nie możemy pokonać i znikąd nie możemy spodziewać się pomocy, jest Ktoś do kogo możemy się zwrócić. On wyleje balsam na nasze rany, On nas przeprowadzi przez najciemniejsze doliny. Rozstawaliśmy się w momencie niedopowiedzenia. Niedokończonej rozmowy. Tak jakby ciąg dalszy miał być napisany dalej. Wierzę, że Bóg poruszył tego mężczyznę, że nie pozostawi go samego. Modłę się za niego do tej pory.

Wysiedliśmy w Nowym Sączu w centrum. Od Ropy do Nowego Sącza przejechaliśmy spory kawał drogi. W dużym przybliżeniu oceniam ten odcinek na jakieś 50 km. Jak w takim tempie będziemy się poruszać to może rzeczywiście dotrzemy do Piwnicznej na jutro rano. Kolejne 50 km. Zacząłem nieśmiało dopuszczać myśli o dotarciu do Piwnicznej, tam, gdzie czeka na nas samochód. Powinniśmy tam dotrzeć, a potem samochodem do Szczawnicy, gdzie mamy się spotkać z naszymi siostrami. 50 kilometrów to dystans do pokonania pieszo przez cały dzień dobrego marszu. Straciłem poczucie czasu. Niebo było zachmurzone. Trudno określić która jest teraz godzina. Z perspektywy czasu jeszcze trudniej. Mogło być pomiędzy godziną 13,00 a 16,00. Małe szanse abyśmy dotarli do Piwnicznej do następnego dnia rano.



Małe, ale jednak istnieją. Jak mielibyśmy iść, kosztowałyby to nas sporo sił. Chyba, że Pan Bóg podstawi nam kolejny transport.

Określiliśmy kierunek, w którym mamy się udać. Piwniczna. Ale najpierw trzeba jeszcze przebyć przez pół miasta przez Nowy Sącz. Ruszamy. Deszcz przestał padać. W samochodzie ubrania trochę podeschły, ale w butach miałem mokro. Nieprzyjemnie. Coraz bardziej zaczęło mi to przeszkadzać. Doszło do takiego momentu, kiedy miałem ochotę powiedzieć znowu: "dosyć". Wilgoć w butach sprawiała dyskomfort i zacząłem odczuwać coś w rodzaju bólu reumatycznego. Maszerowaliśmy, modliliśmy się, ale w końcu mówię do Mariusza:

- Muszę prosić Boga o buty. Bo tych mokrych podartych mam już dosyć. Nie pociągnę dalej. Zostań tutaj na tej ławce. Pójdę załatwić buty. Niech Bóg mi pomoże.

Zatrzymałem kilka osób na ulicy zapytałem o buty. Popatrzyli się jak na wariata. Zapukałem do kilku domów. To samo. Jakiś przybłąda, bezdomny, włóczęga. W końcu jakaś kobieta poważniej podeszła do sprawy.

- Tu niedaleko jest szpital. Niech Pan tam zapyta.

Jakieś światło w głowie. Jak wszedłem do budynku szpitala byłem pewien, że tu dostanę buty. Ogarnęła mnie jakaś niewytłumaczalna pewność, że właśnie tutaj za chwilę otrzymam buty. Do których drzwi zapukać? Zapukałem do pierwszych napotkanych. Nacisnąłem klamkę. W pokoju było kilku ratowników medycznych. Popatrzyli na mnie zdziwieni.

- Pan do kogo?. Jak Pan tu wszedł?

- Aaaa.... Ja właśnie..... Idę z pielgrzymką, jeszcze cały dzień drogi przede mną. Mam zniszczone buty i nie mogę w nich dalej iść. Może tu znajdują się jakieś buty niepotrzebne nikomu?

- ??????? Cisza. Popatrzyli po sobie i na mnie. Wariat, czy kto? Nagle, z tyłu odezwał się jakiś głos, jeden głos:

- Acha, taka sprawa. No, może coś poradzimy. Niech pan poczeka na zewnątrz.

W kościele w Krynicy też odezwał się jeden głos. Też, jakby do jednej osoby dotarło to, co się właśnie dzieje. Tam powiedziałem "Jesteśmy misjonarzami, głosimy dobra nowinę".

Tutaj powiedziałem: " Pielgrzymuję"

Po kilku minutach młody mężczyzna wrócił z parą butów. Właściwie sandałów z piętą. Przymierzyłem. Rozmiar akurat dla mnie. Suche. Wygodne. Ucieszyłem się jak dziecko.

- Wspaniale. Powiedziałem do mężczyzny. Dzięki Ci Panie Boże.

Młody ratownik nie chciał mnie jeszcze puścić. Poprosił abym opowiedział dokładniej co ja tutaj robię, co to za pielgrzymka. Opowiedziałem dokładniej. Powiedziałem także, że w drodze jesteśmy od kilku dni.

- Może potrzebuje Pan jakichś pieniędzy, mogę jakoś pomóc jeszcze?

- Nie dziękuję pieniędzy nie mogę wziąć. Bóg troszczy się o nas. Pieniądzy nie możemy przyjmować.

- To może kanapki?

- Zastanowiłam się. Kanapki tak, mogę przyjąć.

Przyniósł za chwilę swoje kanapki i butelkę wody.

- Niech Bóg błogosławi. Obiecuję modlitwę za Pana.

Modłę się do tej pory.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Wróciłem do Mariusza. Nawet nie był bardzo zaskoczony, jak zobaczył sandały.

Na kanapki także nie zareagował zaskoczeniem. Zaczęliśmy jeść podarowane kanapki. Po posiłku ruszyliśmy. Szliśmy dosyć długo. Droga wyjazdowa z Nowego Sącza w kierunku Piwnicznej mierzy kilka kilometrów. Może się znudzić. Szliśmy i modliliśmy się. Obok nas ciągnął się sznur samochodów, które stały w korku i poruszały się ospale chyba wolniej od nas. Zobaczyliśmy wiatę przystanku, z ławką. Usiedliśmy. Nie mamy nic do jedzenia, picie też było na wyczerpaniu. Wyciągnęliśmy różańce. Odmówiliśmy już wszystkie modlitwy wcześniej. Może zmówmy dziesiątek różańca ze tę parafię, którą mijamy. W oddali majaczyła wieżyczka jakiegoś kościoła. Odmówiliśmy modlitwę. Wstajemy. Niechętnie. Ale mamy iść dalej. Mariusz zrobił kilka kroków, ja na chwilę zatrzymałem się, zaglądając po coś do plecaka schyliłem się ..... Nagle podnoszę głowę i ..... widzę przed nami stoi samochód. Otwierają się drzwi i odzywa się głos:

- Dokąd Panowie chcecie jechać? - Ten samochód i ten głos pojawili się nagle. Nie wiadomo skąd. Nie zatrzymywaliśmy nikogo. Tak jakby Maryja podstawiła nam go po odmówionej modlitwie. Chociaż wcale nie prosił. Byłem jakby oszołomiony. Zjawisko jakby nie z tego świata. A to wszystko było jakby w zwolnionym tempie. Ale samochód stał i był realny.

- Wsiadajcie podwożę.

Zawołałem na Mariusza, który już zdążył się oddalić o kilkanaście metrów. Nie widział co się dzieje. Odwrócił się zaskoczony. Wsiadliśmy.

- To dokąd podążacie? - odezwał się mężczyzna. Trzydziestokilkuletni.

- Włodzimierz – przedstawił się.

Podaliśmy także swoje imiona.

- Chcielibyśmy dojechać do Rytra. Ale to daleko. To może kawałek w tym kierunku.

- Nie ma problemu. Mogę podwieźć was do Rytra. Tylko na chwilę zatrzymamy się w Starym Sączu.

Po chwili dodał:

- Zobaczyłem, że modlicie się na różańcach. Uderzyło mnie to. Pomyślałem, że to musi być coś ważnego. Coś mnie mocno naciskało, aby was zabrać. Ale byłem w korku, musiałem jeszcze przejechać jakieś pół kilometra, aby zawrócić. Skąd się tu wzięliście, co robicie, dokąd zmierzacie?

Opowiedzieliśmy. Trochę także o naszych przeżyciach w drodze. Był nieco zaskoczony chociaż widać było, że bardziej cieszy się z naszego spotkania, niż dziwi. Zaczął opowiadać o sobie.

Mówił, że był „na bakier” z Panem Bogiem, nie układało mu się jakoś życie. Wtedy zaczął wołać do Pana Boga. I zobaczył, że jak zaczął się modlić, zaczęły się zmiany w jego życiu. Dostał lepszą pracę i zaczął bardziej poszukiwać Pana Boga w swoim życiu. Rozważał wstąpienie do jakiejś wspólnoty. O niektóre zaczął się już ocierać. Mógł już powiedzieć, że widzi, że Bóg działa i odpowiada na nasze prośby. Droga szybko zleciała, przejechaliśmy Stary Sącz i zbliżaliśmy się do Rytro.

- Wiecie, mam znajomych, którzy także zaczynają rozwijać swoją wiarę. - odezwał się mężczyzna - Mają synka, który jest chory i lekarze nie wiedzą, jak mu pomóc. Ma jakiś rodzaj wysypki na skórze i lekarze nie mogą temu zaradzić. Może moglibyście się za niego pomodlić?

- Może moglibyśmy do niego podjechać. Czy daleko mieszkają? - zapytałem.

- W sumie niedaleko. Moglibyśmy spróbować.

Mariusz wyraził jednak obawy. Tak jechać do kogoś bez uprzedzenia. Może warto byłoby ich najpierw zapytać czy w ogóle chcą takiej modlitwy. Ostudził nasz zapał. Ale ustaliliśmy. My z Mariuszem pójdziemy teraz do kościoła w Rytro, na Mszę św. W tym czasie Mężczyzna skontaktuje się ze znajomymi i jeżeli będą chcieli abyśmy przyjechali, on przyjedzie po nas pod kościół w Rytro. Jeżeli nie przyjedzie to będzie oznaczało, że ich nie zastał lub że się nie zgadzają na naszą modlitwę. Rozstaliśmy się pod kościołem w Rytro. Pożegnaliśmy się. Modłę się do dzisiaj ze tego mężczyzną.

Teraz sobie uświadamiam, że to już siódmy raz tego dnia Pan podstawił nam swój transport.

Poszliśmy na Mszę św. Po mszy weszliśmy na zakrystię. Chcielibyśmy prosić księdza Proboszcza o błogosławieństwo. W skrócie opowiedzieliśmy o naszej Misji. Przysłuchiwała się naszej rozmowie siostra zakonna.

- Raduję się słuchając was jak Bóg działa waszym życiem. Nie was Bóg prowadzi. – powiedziała.

Ksiądz Proboszcz również pobłogosławił nas. Zostaliśmy jeszcze w kościele, aby odmówić nieszpory. Mieliśmy jeszcze nieco czasu do ewentualnego przyjazdu Władysława, który nas zapraszał do Modlitwy za synka przyjaciół. Mam trochę żal do Mariusza. Zgasił Ducha św. we mnie i w tym mężczyźnie. Może głos Mariusza był głosem rozsądku. Ale czy z Bogiem należy zawsze postępować rozsądnie. Trzeba być takim szaleńcem Bożym, aby iść za jego głosem. Nie zawsze wiemy co nam proponuje, do czego nas wzywa, co nas czeka. Trzeba po prostu iść za nim. Maryja powiedziała swoje święte: FIAT = TAK, nie będąc pewna, na co się decyduje. Była pełna niepewności. Nawet w głębi serca wiedziała, że to będzie droga trudna i bolesna. Ale wiedziała, że to dla niej będzie najpiękniejsza droga. Anioł powiedział do św. Józefa "Nie lękaj się przyjąć do siebie Maryi".

W końcu my i wszyscy nasi bracia zgłaszając się na konwiwencję w Puławach także byliśmy pełni lęków i obaw, a jednak jak tacy Boży szaleńcy poddaliśmy się temu Bożemu impulsowi.

Czekaliśmy jeszcze kilkadziesiąt minut w Rytro. Nie doczekaliśmy się. Szkoda. Zbliża się wieczór. A my nie wiemy jeszcze co dalej, gdzie będziemy nocowali, czy będziemy nocowali. Zaczęliśmy marsz w kierunku Piwnicznej, znowu wzdłuż Popradu. Zatoczyliśmy ogromne koło w naszej wędrówce. I wróciliśmy do pierwotnego biegu rzeki Poprad. Przed nami było kilkanaście kilometrów. Jak by się udało chcielibyśmy jeszcze odwiedzić księdza w Głębokim, tuż przed Piwniczną. Mijały nas samochody. Szliśmy także wzdłuż ruchliwej ulicy. Po jakimś czasie musieliśmy odejść od ulicy i zaczęliśmy iść wzdłuż zboczy gór, mijając co jakiś czas domy mieszkalne. Zaczęliśmy pukać lub dzwonić do niektórych. Było już po 19,00, ale był w nas

niewytłumaczalny pokój, że za chwilę nasza sytuacja się wyjaśni. Musimy jeszcze zapukać do kilku drzwi. Nie udało się znaleźć miejsca na nocleg. Wkrótce doszliśmy na piechotę do Głębokiego do kościoła. Parafia Trójcy Przenajświętszej w Głębokiem. Nie zastaliśmy księdza. Kościół był także zamknięty. Pomodliliśmy się. Ruszamy dalej. Jeszcze jeden dom. Zadzwońmy tutaj. Może nas przenocują, a może będą wiedzieć, gdzie znajdziemy księdza. Otworzył mężczyzna. Czterdziestoletni. Przedstawiliśmy się, opowiedzieliśmy o naszej misji. Zapytaliśmy o możliwość noclegu. Był wyraźnie zakłopotany. Chciał jakoś pomóc.

- Chciałbym Panów przenocować, ale na prawdę nie mam miejsca. Córka przyjechała z rodziną. Tam niedaleko jest dom noclegowy, tam wynajmują pokoje, może tam spróbujecie?

- Ale my nie mamy pieniędzy.

- No to ja dam wam pieniądze. - Byliśmy zaskoczeni. Mężczyzna na prawdę chce pomóc. Zaczęliśmy jeszcze rozważać różne możliwości. Pytaliśmy o księdza. W końcu któryś z nas powiedział raczej od niechcenia, nie zdając sobie sprawy, jak blisko jest rozwiązania problemu.

- W Piwnicznej mamy samochód u Sióstr, gdybyśmy dotarli do Piwnicznej, Siostry by nas przenocowały.

- No to ja was zawiozę do Piwnicznej. To jest niedaleko przecież.

- No tak. To świetnie. Nie do końca zdawaliśmy sobie jeszcze sprawę, że znalazło się rozwiązanie.

Jechaliśmy, rozmawialiśmy i podniecenie w nas wzrastało. Przed oczami mieliśmy jeszcze Panią Sołtys z Banicy, o której jedliśmy pyszne śniadanie dzisiaj rano. I później kolejno miejscowości i parafie:

Banica - Czarna - Berest - Kamianna - Ropa - Nowy Sącz - Rytro - Głębokie - Piwniczna. To wszystko dzisiaj. Bez własnego środka transportu. Ósmy raz dzisiaj Panie Boże organizujesz dzisiaj dla nas transport!!!

- No nie, ja muszę jeszcze jakoś pomóc Panom. Tak to czuję. - W jego ręku pojawił się banknot 50 zł.

- Na pewno wam się jeszcze przyda. Kupicie za to coś do jedzenia.

Zawahaliśmy się. Nie mogliśmy, ale przyjęliśmy. Damy do puszek w kościele, jako ofiara na Biednych - pomyślałem.

Do Piwnicznej pod dom zakonnej Sióstr Bożego Miłosierdzia dojechaliśmy na godzinę 21. W ostatniej chwili - jak sądziliśmy, zamykają drzwi o godzinie 21,00.

Wysiedliśmy. Pożegnaliśmy się z Mężczyzną, który nas podwiózł. Modłę się za niego do tej pory. Dzwonimy do drzwi.

- Szczęść Boże siostrze.

- Szczęść Boże!!! Siostra nie kryła radości. Tak martwiłyśmy się. Ale spodziewałyśmy się, że się zjawicie. Zapraszamy do środka. Stanęliśmy w korytarzu. Zaczęliśmy opowiadać. Niesamowicie. Bóg jest wielki i wspaniały. Ogarnijcie się nieco i zapraszamy na kolację. Byliśmy głodni jak wilki. Rzuciliśmy się na jedzenie. Zaczęliśmy opowiadać. Jeden przez drugiego. Opowiadaliśmy długo, dzień po dniu, godzina po godzinie. Siostry słuchały z radością. Cierpliwie. Nie zauważyliśmy, jak minęły ponad dwie godziny naszych opowieści. Czuliśmy się jak w domu. Szkoda było kończyć. My cieszyliśmy się naszymi

przeżyciami. Siostry cieszyły się z nami. Spotkanie zakończyliśmy modlitwą. Na koniec Siostra Małgorzata powiedziała:

- To idźcie wypocznijcie. I .... Koniecznie potrzebujecie prysznic.

Przecież rano brałem prysznic - Pomyślałem. No tak, od rana tyle się działo, to był jednak długi dzień. Koniecznie potrzebuję prysznic.....

Na tym mógłbym zakończyć. Tu prawie skończyło się nasze rozesłanie. Tu skończyła się nasza misja. Tu skończyła się niepewność. Nieprzewidywalność. Od tego momentu możemy czuć się bezpieczniej. Czy jednak na pewno? Czy niepewność i nieprzewidywalność na prawdę się skończyły? Czy skończyły się lęki, obawy? Co będzie jutro, pojutrze, za rok, za dziesięć lat? Czy nad wszystkim rzeczywiście panujemy? Czy wszystko możemy przewidzieć. Czy możemy wszystkiemu zapobiec, czego sobie nie życzymy, czego się obawiamy? Nie możemy. Tak na prawdę, tak niewiele od nas zależy. Mamy wpływ na niewiele rzeczy. Prawda jest taka, że nic od nas nie zależy. Nie mamy wpływu na nic. Wszystko jest wolą Bożą. I od niego wszystko zależy. Wszystko co posiadamy, posiadamy z Woli Bożej. Dzięki Bogu. Bóg dał nam wolną wolę, Możemy wybierać i mówić Mu TAK lub NIE. Jeżeli mówimy TAK i idziemy za Jego wolą dzieją się dobre rzeczy, jak mówimy Bogu NIE, idziemy swoją drogą bez Niego, robimy swoją drogę po swojemu, możemy się sparzyć. Wszystko ma sens, wszystkie wydarzenia są po coś. I ten czas dany mi i wszystkim naszym braciom, którzy byli rozesłani, był Błogosławieństwem. Nigdy wcześniej nie miałem możliwości być tak blisko Boga. Tak wyraźnie zobaczyć jego działanie. Tak namacalnie. Czuć prawie Jego oddech. Z jednej strony wracamy do szarej rzeczywistości do normalnego życia. Z drugiej strony Bóg poprzez te wydarzenia, których pozwolił mi doświadczyć pokazał mi, że warto zaufać Bogu. Warto na nim się oprzeć. Mamy niepewność ludzką, że coś nam się może przydarzyć. Ale jak Mu zaufamy, mamy pewność, że On ma dla nas najlepszy scenariusz, najlepsze rozwiązania. Zaufaj Bogu, nawet na kredyt, na wyrost. Jak szalenieć, a nie zawiedziesz się. Chciałbym, aby ten czas był dla mnie taką nauką.

Dobrze było spać w łóżku, pod dachem, po kolacji i po prysznicu. Zaczynałem to doceniać. Czy dziękujemy Bogu za takie "błahe" rzeczy. Jakby Bóg nie chciał, nie mielibyśmy tego co mamy. Szatan dawno zabrałby nam wszystko i oszukiwał, że Bóg nas nienawidzi. Albo dałby nam takie bogactwa, że o Bogu dawno byśmy zapomnieli.

Następny dzień, rano, modlitwa brewiarzowa. Jutrznia z siostrami w kaplicy. Siostra Marta podarowała mi brewiarz....

**13.** Siostra Marta zauważyła, że posiadam jedynie mały egzemplarz "Brewiarza dla świeckich". Zapytała:

- Jurek, ty nie masz brewiarza?

- No nie mam. Mam jedynie "Brewiarz dla świeckich".

- Proszę, to dla ciebie. Powiedziała uśmiechając się i wręczając mi egzemplarz "dużego" Brewiarza. Sprawiała mi tym wielką radość. Modlitwy brewiarzowej trzeba się nauczyć. Dobrze, gdy ktoś może wytłumaczyć, jak posługiwać się brewiarzem. Ale też dobrze mieć własny brewiarz. Zacząłem modlić się brewiarzem w domu, jednocześnie posługując się i sprawdzając Liturgię Godzin w internecie, w "komórce". Pierwszy raz zetknąłem się z brewiarzem podczas "Laudesów" - modlitwy opartej o Brewiarz w Neokatechumenacie. Tam także jest to podstawowa modlitwa podczas konwencji. Spotykamy się na

Laudesach podczas Adwentu - rano zamiast roratów i podczas Wielkiego Postu - również rano. Pewien ksiądz polecił mi brewiarz, gdy przyznałem się, że chciałbym modlić się innymi modlitwami, niż dotychczas. Warto modlić się Brewiarzem. Rychło przekonają się o tym ci, którzy sięgną po Brewiarz. Po modlitwie śniadanie. Pakowanie. Siostry poprosiły nas o pomoc, przy przenoszeniu szafy z samego strychu na jedno z dolnych pięter. Biedne siostry, jak one sobie radzą bez pomocy mężczyzny - złotej rączki? Chciałoby się więcej pomóc, ale czas nas naglił. Pora już była wyjeżdżać do Szczawnicy, gdzie miały oczekiwać na nas nasze siostry z Neokatechumenatu: Alina i Marzena. Chciałoby się zostać dłużej. Porozmawiać. Czuję, że mamy jakiś wspólny język tu w Piwnicznej. z Siostrami Miłosierdzia Bożego. Podarowały nam kawałek swojego serca. Przez całą naszą wyprawę, czuliśmy ochronę ich modlitwy za nas. Bóg wiedział, dokąd nas skierować na samym początku naszej drogi. Wiedział, że pomogą nam na początku, ale i przez całą drogę - ofiarują to co jest największym skarbem człowieka dla człowieka - modlitwę. Modlą się za nas przez cały czas do chwili obecnej. Bardzo w to wierzę i odwzajemniam się im - także modlę się za nie do tej pory. Poprosiliśmy o błogosławieństwo Siostrę przełożoną Martę. I siostry poprosiły nas o błogosławieństwo. Zostawiłem cząstkę siebie tam u sióstr. Ufam, że kiedyś tam powrócę jeszcze. Wyruszyliśmy do Szczawnicy po Marzenę i Alinę. Zanim jednak opuściliśmy Piwniczną, podjechaliśmy do specjalnego ujęcia wody, aby napełnić butelki prawdziwą "Piwniczką". Jak podają informacje umieszczone przy ujęciach, jest bardzo bogata w minerały, szczególnie w związki żelaza. Smakuje i pachnie, jak zardzewiała rura. Szczególnie jak ma temperaturę podniesioną do temperatury otoczenia. Ukazuje się wtedy jej kolor brunatno rdzawy. Po ponownym ochłodzeniu poprawia się smak, a kolor brunatny zanika. Sprawdzałem.

Szkoda było wyjeżdżać, ale w końcu opuściliśmy Piwniczną. Do Szczawnicy prowadziły kręte serpentyny wśród gór. Podziwialiśmy piękne widoki naszych wspaniałych Gór.

Ciekawe, w jakim stanie zastaniemy nasze siostry. Martwiliśmy się o nie z jednej strony. Z drugiej, mając doświadczenie jak Bóg nas prowadził przez te kilka dni, byliśmy zaciekawieni czego Bóg dokonał w historii Marzeny i Aliny. Być może zaskoczy nas jeszcze bardziej .....

Byliśmy umówieni na jednym z parkingów w pobliżu jednego z kościołów. Jeszcze w czasie, gdy jechaliśmy zadzwoniła Marzena, czy nie zapomnieliśmy o nich. Teraz czekały w pogodnych nastrojach. Twarze radosne, uśmiechnięte i szczęśliwe. Już wiedzieliśmy, że ich historia może powalić nas z nóg. Uściskaliśmy się na powitanie. Zapakowały się do Samochodu. Zaczęły opowiadać jedna przez drugą. Nie miały żadnych problemów i przykrych sytuacji. Przynajmniej nie mówiły o nich. Jak zostawialiśmy je w Starym Sączu przy kościele, nie musiały długo chodzić i poszukiwać. Udały się właśnie do tego kościoła i "uderzyły" do tutejszego księdza proboszcza. Proboszcz potraktował je z szacunkiem i radością. I dał im schronienie jedzenie i nocleg. A ja się tak o nie martwiłem. Pamiętam z jakim niepokojem i smutkiem patrzyłem za nimi, gdy zostawialiśmy je w Starym Sączu. Bóg prowadził je i opiekował się nimi przez cały czas. Nie wiem, jak przemierzyły odległość ze Starego Sącza do Szczawnicy. To też jest przecież niemały dystans. Zapamiętałem jedną z ich historii. Któregoś dnia, kiedy były głodne i wyczerpane, odwiedziły jedną z restauracji. Usiadły przy stole. Gdy podeszła do nich kelnerka, opowiedziały kim są i z jaką misją się tu znalazły. Powiedziały, że nie mają pieniędzy, ale czy mogłyby dostać jakieś resztki jedzenia, za które nie musiałyby płacić. Kelnerka zaskoczona, powiedziała:

- To ja może lepiej poproszę szefową.

Gdy szefowa usłyszała historię Marzeny i Aliny, powiedziała:

- Żadne resztki. Proszę przygotować obrus i podać normalny obiad.

Ugościła ich po królewsku. Bóg jak daje, daje w obfitości. Wzruszyła mnie ta opowieść Marzeny i Aliny. Nawet teraz z perspektywy dwóch lat, kiedy piszę te słowa, łzy pojawiły się w moich oczach. Jak one musiały być zdesperowane. Ale jak przepelnione wiarą. My nie byliśmy aż tak zdesperowani. A może nie potrafię odszukać w pamięci takiego momentu desperacji. Przechodziliśmy przez Krynicę, gwar ludzki, turyści, przyjezdni. Mijaliśmy mnóstwo restauracji. Może tliła się w głowie myśl, aby wejść do restauracji i poprosić. Zabrakło jednak odwagi i wiary. To jest świadectwo wiary. Weszły do knajpy i poprosiły o jedzenie. W imię Jezusa Chrystusa. I dostały..... "Proście a będzie wam dane" – Marzena i Alina dokładnie posłuchały tego słowa i dokładnie je wypełniły. Niech nikt nie próbuje zmienić choćby jednej joty. Niech nikt nie próbuje wyrwać ani jednej kartki z Ewangelii. Wszystko co jest tam napisane jest napisane dosłownie. Wszystko się wypełnia!!!! Ewangelia została napisana dwa tysiące lat temu, ale wypełnia się w naszych czasach jest aktualna !!!!!!!!!!! W naszych czasach !!!!!!!!!!! Niestety, nie wszyscy mają taką wiarę. Niedługo miałem się o tym przekonać, słuchając opowieści innej siostry z Neokatechumenatu z Lublina, która opowiadała o gościnie u pewnego księdza - także podczas tego rozesłania. Napiszę o tym nieco później. Nie chcę tu mówić, że ja mam dużą wiarę. Nie mam. To co dane nam było podczas rozesłania, wszystkie sytuacje wydarzyły się tylko i wyłącznie dzięki łasce Bożej. Dziękuję Bogu za to, że pozwolił mi w tym uczestniczyć i tego doznać. Na prawdę był to czas Kyrios. Przechodzenia Pana. Chciałbym, aby taki czas trwał wiecznie. Abym myślał o Bogu w każdej sekundzie swojego życia. Abym potrafił przebywać z Bogiem i w Bogu i modlić się przez 24 godziny na dobę.....

Droga do Puław szybko nam upłynęła. Dzieliliśmy się wzajemnie swoimi opowieściami z drogi rozesłania. Była także modlitwa. W miarę jak zbliżaliśmy się do Puław, zaczynałem sobie uświadamiać, że takie historie będzie miało 900 naszych braci i siostr. Tylko w Polsce, tyle osób miało łaskę przebywania w Bożej Krainie pod Bożym Parasolem. Jak pomnożymy to przez liczbę braci ze wszystkich krajów, gdzie było rozesłanie to co nam wyjdzie? Bóg dotyka na swoimi cudami masowo, nie tylko w jakichś pojedynczych przypadkach, objawieniach, które mogą ujrzeć światło dzienne za kilka lat, a czasami nikt o tym się nie dowiaduje. „Nie trzyma się światła pod korcem”

#### **Zadanie uczniów**

**13 Wy jesteście solą dla ziemi. Lecz jeśli sól utraci swój smak, czymże ją posolić? Na nic się już nie przyda, chyba na wyrzucenie i podeptanie przez ludzi. 14 Wy jesteście światłem świata. Nie może się ukryć miasto położone na górze. 15 Nie zapala się też światła i nie stawia pod korcem, ale na świeczniku, aby świeciło wszystkim, którzy są w domu. 16 Tak niech świeci wasze światło przed ludźmi, aby widzieli wasze dobre uczynki i chwalili Ojca waszego, który jest w niebie. (Mt 5, 13-16)**

Tak i my wszyscy, jak wrócimy do Puław z tym światłem, najpierw rozświetlimy siebie i całe nasze zgromadzenie. Każdy będzie opowiadał każdemu swoją historię, swoje świadectwo spotkania się Bogiem, świadectwo, że Bóg żyje i działa teraz, w tym stuleciu. W tych czasach. I to światło musimy zanieść dalej na krańce świata.

Zacząłem słyszeć w głowie słowa psalmu:

#### **Psalm 126:**

**Kiedy Pan sprawił, że powrócili**

**1. Kiedy Pan sprawił, że powrócili wygnańcy Syjonu, wydawało nam się to snem.**

**Nasze usta były pełne śmiechu, a język – pełen pieśni.**

**Ref: Bo gdy się wyrusza, idzie się z płaczem, rzucając nasiona.**

**A gdy się wraca, wraca się ze śpiewem, przynosząc pełne snopy.**

**2. Rzeczy wielkich, rzeczy cudownych, dokonał dla nas Pan, dlatego trwamy w uniesieniu.**

**3. Ci, którzy sieją, pogrążeni są w smutku, ale gdy żniwują, wykrzykują z radości.**

I tak jak to wyglądało w samochodzie, byliśmy w radości wracaliśmy ze śpiewem. Alina, Marzena, Mariusz, Ja. I wszyscy pozostali, w innych samochodach, w pociągach, w samolotach, z innych miast i zakątków Polski i z zagranicy. Wracali ze śpiewem. Od pierwszego momentu bracia, których zobaczyłem w hotelu. Padały pytania:

- Jak było?

Chciałoby się od razu wszystko opowiedzieć wykrzyzczyć tę radość, którą każdy z nas przeżył i nosił w sercu.

- „Wraca się ze śpiewem”.....

Wszędzie słyhać było podniecenie, każdy dzielił się swoimi opowieściami. W windzie na schodach w restauracji przy kolacji. Wszyscy mówili, słuchali z niedowierzaniem. Poczekaj, nie opowiadaj ja też chcę usłyszeć. To były jedne z piękniejszych chwil w moim życiu. Prawdziwa radość tryskała ze wszystkich. W pokoju hotelowym był już Piotr. Uprzedziłem go. Zacząłem opowiadać historię o butach - jak otrzymałem buty. Jak Bóg podarował mi śliczne buty. Czy tak mówimy jak wracamy z zakupów? Czy mówimy: Bóg podarował mi garnitur, koszulę buty, palto, czapkę szalik, kapelusz? Mówimy: kupiłem garnitur koszulę, żakiet sukienkę. Sama sobie kupiłam, sam sobie kupiłem, zarobiłem sam. Nie pamiętamy, że to Bóg nam podarował.

Piotr wysłuchał opowieści o butach z niedowierzaniem. Zjawił się Stanisław.

- Muszę wziąć prysznic. Ostatnią noc spędziliśmy z "żułami" na dworcu. - Ta nazwa bezdomnych w jego ustach nie brzmi obraźliwie.

- Sam byłem "żulem" i z nimi czuję się zbratany. Byłem im to winien. Poczekajcie z opowieściami. wszystko chcę słyszeć. On też był przepełniony historiami braci, z którymi wracał. Wiedział, że każdy ma historię - skarb, którą trzeba się podzielić i trzeba wysłuchać. Wszystkich, o ile jest to możliwe. I opowiadaliśmy jeden przez drugiego. Jeden wchodził w słowo drugiemu i trzeciemu.

- Ty tak miałeś. A ja byłem tu i tu.... A jeszcze wtedy przydarzyło nam się to..... To Duch święty działał we wszystkich. Owocem Ducha św. jest radość. Wszyscy byliśmy przepełnieni Bożą Radością płynącą od Ducha św. Chcieliśmy słuchać i opowiadać jednocześnie. Na kolacji wszyscy mówili, opowiadali, słuchali. Przypomniałem sobie moment jak dzieliliśmy się informacjami o tym, dokąd każdy został wylosowany. A teraz ci sami bracia w podnieceniu, nie mogą przestać mówić o swoich przeżyciach z rozestania. Zobaczyłem Błaszczaka, który cały czas opowiadał. Słuchał go cały stół - wszyscy bracia przy jego stole. Nie pamiętam, kiedy ponownie spotkaliśmy się ze wszystkimi w Hali „Mosir”. Czy był to jeszcze ten sam dzień czy rano następnego dnia? Pamiętam, że spotkałem Maćka - prezbitera. Był we Wrocławiu.



- Jak Było? - zapytał

- Wraca się ze śpiewem - odpowiedziałem.

Spotkałem jedną z kobiet ze wspólnoty, wraz z mężem, od jakiegoś czasu jest moją katechistką. Byli na konwiwencji przed rozestaniem i przyjechali teraz na konwiwencję po rozestaniu. Nie mogli brać udziału w rozestaniu. Wiele osób było na konwiwencji przed rozestaniem. Nie mogli uczestniczyć w rozestaniu. Ale są teraz na konwiwencji po powrocie z rozestania. Wiedzą, że działy się wielkie rzeczy. Są teraz pierwszymi świadkami wydarzeń. Słuchają i chłoną opowieści płynących z ust naszych braci. I teraz nie mogłem się powstrzymać, opowiedziałem jej historię jak dzięki modlitwie na różańcu, Władysław zabrał nas do samochodu w Nowym Sączu.

Laudesy. Modlitwa. Słowo z Pisma św. i Katecheza. Silvana ze łzami w oczach, przywitała wszystkich. Jak Matka oczekująca na swoje dzieci, które posłała na ważną wyprawę.

- Martwiliśmy się o was. Niepokoił się o was. Modliliśmy się. Nie potrafię wyrazić mojej wdzięczności Bogu, że widzę was wszystkich, że wszyscy wróciliście. Widziałam, wasze obawy, wasz strach, ale nie poddaliście się. Zaufaliście Panu. Cieszymy się razem z wami. Stefano powiedział:

- Teraz jest czas abyśmy się podzielili naszymi przeżyciami. Spotkamy się w grupach, poszczególnymi Diecezjami, z odpowiedzialnymi za Diecezje. Będziecie się dzielić w grupach. Odpowiedzialni wybiorą najlepsze z waszych świadectw i przekażą nam. My będziemy losować i wylosowani będą mówić do wszystkich tutaj w hali. W ten sposób mogłem wysłuchać wszystkich świadectw od braci, którzy byli w diecezjach: Krakowskiej i Tarnowskiej.

## **14.**

### **Ewangelia św Łukasza**

#### **Biada nie pokutującym miastom**

**13 Biada tobie, Korozain! Biada tobie, Betsaido! Bo gdyby w Tyrze i Sydonie działy się cuda, które u was się dokonały, już dawno by się nawróciły, siedząc w worze pokutnym i w popiele. 14 Toteż Tyrowi i Sydonowi lżej będzie na sądzie niżeli wam. 15 A ty, Kafarnaum, czy aż do nieba masz być wyniesione? Aż do Otchłani zejdziesz!**

**16 Kto was słucha, Mnie słucha, a kto wami gardzi, Mną gardzi; lecz kto Mną gardzi, gardzi Tym, który Mnie posłał»**

#### **Radość apostoła**

**17 Wróciło siedemdziesięciu dwóch z radością mówiąc: «Panie, przez wzgląd na Twoje imię, nawet złe duchy nam się poddają». 18 Wtedy rzekł do nich: «Widziałem szatana, spadającego z nieba jak błyskawica. 19 Oto dałem wam władzę stąpania po wężach i skorpionach, i po całej potędze przeciwnika, a nic wam nie zaszkodzi. 20 Jednak nie z tego się cieszcie, że duchy się wam poddają, lecz cieszcie się, że wasze imiona zapisane są w niebie».**

#### **Objawienie Ojca i Syna**

**21 W tej właśnie chwili Jezus rozradował się w Duchu Świętym i rzekł: «Wystawiam Cię, Ojcze, Panie nieba i ziemi, że zakryłeś te rzeczy przed mądrymi i roztroprnymi, a objawiłeś je prostaczkom. Tak, Ojcze, gdyż takie było Twoje upodobanie.**

**22 Ojciec mój przekazał Mi wszystko. Nikt też nie wie, kim jest Syn, tylko Ojciec; ani kim jest Ojciec, tylko Syn i ten, komu Syn zechce objawić».**

#### **Przywilej uczniów**

**23 Potem zwrócił się do samych uczniów i rzekł: «Szczęśliwe oczy, które widzą to, co wy widzicie. 24 Bo powiadam wam: Wielu proroków i królów pragnęło ujrzeć to, co wy widzicie, a nie ujrzeli, i usłyszeć, co słyszycie, a nie usłyszeli». (Łk 10, 13-24)**

#### Świadectwo Marka.

Trafili do jakiegoś domu wczasowego dla księży w Zakopanem. ... W rozmowie z osobą z obsługi, zaczęli głośno kerygmat.

- Czy to samo mówicie wszystkim?

- To samo powiedziałbym nie tylko każdemu świeckiemu, powiedziałbym każdemu księdzu, nawet biskupowi. Powiedział socjusz Marka - jego towarzysz w rozesłaniu.

- I powiedziałbyś to biskupowi teraz?

- Tak teraz, w każdej chwili.

- No to chodźmy do biskupów.

Przeszli do jadalni, gdzie przy stoliku siedziało kilka osób Duchownych. Jak się pokazało byli do biskupi.

- Przydałaby się taka ewangelizacja i u nas. - Powiedział Biskup Rygi, podczas rozmowy.

- Księżo Biskupie, w chwili, kiedy tu siedzimy, jemy kolację i rozmawiamy, nasi bracia z Neokatechumentau ewangelizują właśnie Rygę.

#### Świadectwo Zbigniewa, i jego żony.

Był w Krakowie. Jedną z nocy spędzili gdzieś na ławce przy jakichś schodach, przy Sanktuarium Bożego Miłosierdzia, w Łagiewnikach. Rano szukali miejsca, gdzie pada słońce, aby się ogrzać. Jak zobaczyli osoby idące do pracy, które miały na sobie jedynie koszulki z krótkim rękawem, uświadomili sobie, że są przemarznięci po nocy. Wędrowali po mieście. Przypadkiem spotkali innych braci, którzy ewangelizowali na sąsiednim terenie. Ich działania nieco się nałożyły na siebie. Spotkali siostrę zakonną. Powiedzieli kin są i co robią.

- Zapraszam do siebie. - Powiedziała Siostra.

- Prorokowała. Dała im wskazówki do ich sytuacji życiowych. Nie znając ich wcześniej i nie znając ich życia,

- Ty powinieneś napisać list do żony i napisać jej, za co ją kochasz. To ma być taki list na kilka stron. A potem zabierz żonę na wczasy.

"I napisałem taki list jak tylko przyjechałem. I zaprosiłem moją żonę do wyjazdu na odpoczynek do Krakowa. Jedziemy zaraz po konwencji. Traktuję wypowiedź tej siostry jako proroctwo dla mnie".

Jego żona ewangelizowała w okolicy Łukowa. Była tam z dwoma innymi kobietami. Jako jedyna ekipa pojechały nie jako dwie, ale w składzie trzyosobowym. Jedna z nich nie miała pary w losowaniu. Została sama i dołączono ją do tej ekipy.

Były jak wszyscy przynębione i pełne obaw. W którymś kościele usłyszały pieśń:

"Tak mnie skrusz, tak, mnie złam, tak mnie wypal Panie, byś został tylko Ty, byś został tylko Ty". Wiele razy słyszałem tę pieśń. Zawsze mnie poruszała i coś ścisnęła za gardło. Ale w tym momencie jak usłyszałem tę relację żony Zbigniewa, wiedziałem, że to musiało być ważne dla niej i jej towarzyszek. Zapukały któregoś dnia do jakichś drzwi. Otworzyła jakaś kobieta. Żona Zbigniewa, pod natchnieniem odezwała się:

- "Za rok o tej porze urodzisz dziecko".

### **Księga Rodzaju**

#### **Bóg w gościnie u Abrahama**

**18 1** Pan ukazał się Abrahamowi pod dębami Mamre, gdy ten siedział u wejścia do namiotu w najgorętszej porze dnia. **2** Abraham spojrzawszy dostrzegł trzech ludzi naprzeciw siebie. Ujrawszy ich podążył od wejścia do namiotu na ich spotkanie. A oddawszy im pokłon do ziemi, **3** rzekł: «O Panie, jeśli darzysz mnie życzliwością, racz nie omijać Twego sługi! **4** Przyniosę trochę wody, wy zaś raczcie obmyć sobie nogi, a potem odpocznijcie pod drzewami. **5** Ja zaś pójdę wziąć nieco chleba, abyście się pokrzepili, zanim pójdziecie dalej, skoro przechodzicie koło sługi waszego». A oni mu rzekli: «Uczyń tak, jak powiedziałeś».

**6** Abraham poszedł więc spiesznie do namiotu Sary i rzekł: «Prędko zczynić ciasto z trzech miar najczystszej mąki i zrób podpłomyki». **7** Potem Abraham podążył do trzody i wybrałszy tłuste i piękne cielę, dał je słudze, aby ten szybko je przyrządził. **8** Po czym, wzięwszy twaróg, mleko i przyrządzone cielę, postawił przed nimi, a gdy oni jedli, stał przed nimi pod drzewem.

**9** Zapytali go: «Gdzie jest twoja żona, Sara?» - Odpowiedział im: «W tym oto namiocie». **10** Rzekł mu [jeden z nich]: «O tej porze za rok znów wrócę do ciebie, twoja zaś żona Sara będzie miała wtedy syna». Sara przysłuchiwała się u wejścia do namiotu, [które było tuż] za Abrahamem. **11** Abraham i Sara byli w bardzo podeszłym wieku. Toteż Sara nie miewała przypadłości właściwej kobietom. **12** Uśmiechnęła się więc do siebie i pomyślała: «Teraz, gdy przekwitłam, mam doznawać rozkoszy, i mój mąż starzec?» **13** Pan rzekł do Abrahama: «Dlaczego to Sara śmieje się i myśli: Czy naprawdę będę mogła rodzić, gdy już się zestarzałam? **14** Czy jest coś, co byłoby niemożliwe dla Pana? Za rok o tej porze wrócę do ciebie, i Sara będzie miała syna». **15** Wtedy Sara zaparła się, mówiąc: «Wcale się nie śmiałam» - bo ogarnęło ją przerażenie. Ale Pan powiedział: «Nie. Śmiałaś się!» (Rdz 18, 1-15)

Wieczorem Stanisław zaczął opowiadać. Był w Malborku. Jako socjusza wylosowano dla niego młodego brata ze Wspólnoty z Bronowic w Lublinie.

### Świadectwo Stanisława

- Cały czas próbuję odczytać, dlaczego Bóg przydzielił mi tego młodego chłopaka. On jest w wieku mojego syna. Może poprzez niego Bóg chce mi wskazać abym przyjrzał się moim relacjom z moim synem? - Zastanawiał się.

- Trafiliśmy do pewnej parafii, w której zatrzymaliśmy się na dłużej. Ksiądz poprosił nas abyśmy głosili słowo w kościele. Mój socjusz jest ministrantem. Stanowiliśmy zgrany duet. On służył w czasie Mszy św. Zakładał ubranie ministranta. Ja mówiłem świadectwo. Jak się okazało ludzi poruszała nasza historia chcieli słuchać i słuchać. Jak ksiądz powiedział, że potrzebujemy noclegu, zaczęli się ustawiać w kolejce i robili grafik, kto, którego dnia będzie nas gościć. Trafiliśmy do pewnej rodziny. Bardzo wierzący ludzie. Rodzice chodzą regularnie do kościoła. Synowie służą do Mszy św.

- Ale nie mieliśmy łatwo. - Wspomina kobieta. Mieliśmy patologiczną rodzinę. Ojciec pił. Stosował różne, wymyślne kary. Znęcał się nad nami fizycznie i psychicznie. Przeżyłam piekło.

Widać było, że potrzebowali opowiedzieć swoją historię. Bóg dał im taką możliwość, aby goszcząc u siebie Stanisława i jego towarzysza mogli zmierzyć się ze swoją przeszłością i oddać ją Bogu.

Podczas jakiegoś posiłku rozmawiałem z kobietą, ze Wspólnoty gdzieś ze Śląska. Wylosowała Lubin centrum. Byłem bardzo ciekaw jak głosili w Lublinie. Nie wyobrażałem sobie, siebie w Lublinie. "Trudno jest prorokować w swoim kraju".

### Świadectwo Siostry ze wspólnoty ze Śląska.

Siostra - jak mówiła pierwszą noc spędziły na ławce na deptaku w centrum Lublina przy Krakowskim Przedmieściu.

- Tam kręcili się ludzie. Tam czułyśmy się bezpieczne. - Nie próbowałem wyjaśnić jak niebezpieczne miejsce to mogło być.

- Słyszałyśmy komentarze i żarty, na nas temat. Ktoś krzychał: Co za dużo było, do domu daleko. Nie trzeba było tyle pić.

Opowiadała, że chodziły po Starówce, w okolicach dworca PKS na Podzamczu. Na ulicy Lubartowskiej. Kto mieszka w Lublinie, wie dobrze jak niebezpieczne są te dzielnice. Najgorsze slumsy, samo zło. A one dwie, bezbronne dziewczyny. Ale właśnie tam Bóg je posłał. I roztaczał nad nimi swój płaszcz w tym czasie, kiedy tam były. Trafiły także do szpitala Centrum Onkologii. Odważne dziewczyny.

Chodziły też pukając do mieszkań. Jakieś starsze małżeństwo zaopiekowało się nimi. Bóg dał im nocleg przez kilka dni. Jak się później okazało istnieje związek pomiędzy jej wspólnotą, a wspólnotą Stanisława i Piotra. Dziewczyna ze wspólnoty Stanisława wyszła za męża za chłopaka ze wspólnoty, tej siostry ze Śląska. „Chłopaki” przyjechali na Poczekajkę, na "Skrutację Pisma św." i tam jeden z nich poznał dziewczynę ze wspólnoty Stanisława.

Po dzieleniu się świadectwami w mniejszych grupach tzw diecezjalnych, przyszła kolej na publiczne przedstawienie wybranych świadectw. Stefano, wraz z katechistami losowali świadectwa wybrane wcześniej. Zapamiętałem świadectwo Jarka, prezbitera z "Pierwszej Wspólnoty Królewskiej" z Lublina. Właściwie to, o którym pisałem wcześniej. Został wylosowany do Hamburga, gdzie miał możliwość być kilka lat wcześniej na misji. opowiadał o misji w dzielnicy "Sao Paulii". Dzielnica zła. Dzielnica rozrywki, domów publicznych i sklepów z pornografią. Trafia tam wielu przyjezdnych. Także Polacy niestety.

W sobotni wieczór po raz ostatni spotkaliśmy się w tym wielkim gronie 900 osób. Był czas dziękczynienia. Eucharystii. W celebracji uczestniczyło ok 100 kapłanów. Prezbiterium było całe białe od bieli ubiorów kapłanów. Jak widzi się taką liczbę księży zebranych w jednym miejscu na Eucharystii, widzi się wielkość Boga i jego Moc. Głównym celebransem był biskup Wróbel, z Lublina, który wygłosił homilię.

- W tym czasie, kiedy wy chodziliście i głosiliście Jezusa Chrystusa w różnych zakątkach naszego kraju i poza nim, ja przebywałem na wczasach nad morzem. Mówił min ks biskup.

Na koniec Mszy św. udzielił wszystkim zebrany Pasterskiego Błogosławieństwa.

Żal było odchodzić. Mijał ten święty czas. Tak może chciałby ktoś podsumować. Wracamy do domów. Do zwykłej szarej rzeczywistości. Czy na pewno? Czy ta rzeczywistość będzie znowu szara, to zależy od nas. Od naszego postępowania. Czy schowamy to światło, które otrzymaliśmy pod korcem, czy postawimy je na świeczniku? Czy pójdziemy na krańce świata i opowiemy o tym wszystkim co przeżyliśmy, czego doznaliśmy co usłyszeliśmy i co otrzymaliśmy. Każdy z nas dzięki łasce Bożej, otrzymał wielki dar, talent, z którym możemy zrobić co zechcemy. Możemy go pomnożyć, ale i możemy go zakopać. Co zrobimy?

"Idźcie i głoscie". "Wiara rodzi się ze słuchania". Ze słuchania Dobrej Nowiny, o tym, że Bóg, Jezus żyje i działa pośród nas. Idźmy i mówmy, aby mieli czego słuchać. Jak zabraknie mówiących, kogo będą słuchać? **"Żniwo wprawdzie wielkie, ale robotników mało"...** Opowiadajmy o naszym spotkaniu Boga o tym jak działa i nas prowadzi. Jak jest z nami. Mówmy w rodzinach, mówmy znajomym, mówmy we wspólnotach. Od kogo mają usłyszeć jak nie od świadków, którzy Go spotkali i doświadczyli?

W ciągu kilku dni opowiadałem Rodzicom, opowiadałem dzieciom: Julii i Kacprowi.

Dosyć szybko zorganizowano spotkanie dla naszych braci w amfiteatrze na Poczekajce. Dla braci podlegających pod Poczekajkę. Zaroszeni byli wszyscy, którzy byli posłani i wszyscy bracia ze wspólnot. Tomek poprosił:

- Wybierzcie tylko "peretki" z waszych wędrówek. Najciekawsze wydarzenia, świadectwa. Nie sposób abyśmy powiedzieli wszystko szczegółowo czego doświadczyliśmy. I mówili bracia.

Piotr. Był z prezbitera z Bronowic. Tak jak sobie wymodlił. Pojechali do Zielonej Góry. Kilka dni chodzenia po mieście. Nie zazdroścę. Jak mówił Piotr, dobrze Bóg ich dobrał. Jedność była ważna.

- Nawet różaniec mówiliśmy jednym tempem.

Ela. Jak wcześniej pisałem, sama obecność jej i Tomka - jej męża, były niesamowitym znakiem wiary i świadectwem dla nas. Pod siedemdziesiątkę obydwoje. Ona - matka, która urodziła piętnaścioro dzieci. Nie cofnęli się. Wiem, że Ela odradziła niektórym udział w rozesłaniu, ze względu na kondycję zdrowotną. Sama nie zwracała na to uwagi. W czasie konwiwencji musiała siedzieć na specjalnym fotelu, aby wytrzymać tak długo. Porwała się na niepewne. Co Bóg dla niej przygotował. Jak mówiła:

- 30 lat czekałam na to rozesłanie. Wtedy Tomek opowiadał mi co się działo podczas ich rozesłanie we Włoszech. Tak byłam poruszona, że postanowiłam uczestniczyć w kolejnym rozesłaniu. Nie przypuszczałam, że będę musiała czekać 30 lat.

Trafiła do Płocka. I nie miały lekko. Pierwszą z nocy spędziły na ławce w parku. Dopiero kolejne noce spędziły pod dachem.

Któryś z braci - odpowiedzialny z I wspólnoty na Poczekajce mówił:

- Chodziliśmy po blokowiskach. Nocowaliśmy pod balkonami. Tak podpowiedział mój socjusz, który podejrzwał bezdomnych chroniących się pod balkonami. Sześćdziesięcioletni facet. Nie bał się nocować pod balkonem. Przeżył i opowiada o tym. Daje świadectwo swojej wiary. Jakby mówił: "Bóg nie zawsze daje łatwe i wygodne życie. Trzeba od Boga przyjmować wygodne doświadczenia, ale i te ciężkie".

Inny brat. Gdy trafił w gościnę do jakiegoś domu. Gospodyni opowiadała znajomym: "Chrystus zawitał do mojego domu".

Siostra ze wspólnoty Marka. Trafiłyśmy do pewnego księdza. Jak opowiedziałyśmy, że ewangelizujemy od kilku dni. Nie mamy trzosa i pieniędzy. Jesteśmy zdane na łaskę Boga. Niemal się rozłotocił.

- Ale o tym napisano ponad dwa tysiące lat temu. Takie rzeczy nie dzieją się dzisiaj. Jak wy w to możecie wierzyć? - Mówił z ironią ksiądz. Przyjął je pod swój dach, ale miał im za złe, mówił, że są naiwne. Ksiądz.

### **"Nie potrzebują lekarza zdrowi, ale chorzy"**

Maciej prezbiter ze wspólnoty na Poczekajce. Mój katechista.

Pojechał do Wrocławia. Nocował w zakonie. Nie od razu wiedział, dlaczego Bóg skierował właśnie do tego zakonu. W rozmowach z Ojcami dowiedział się, że jeden z ojców przechodzi kryzys. Chce odejść z zakonu. Nie było go w tym czasie na miejscu. I nie wiedzieli co się z nim dzieje. Maciej otrzymał pokój w sąsiedztwie tego zakonnika. Gdy zakonnik pojawił się z powrotem w zakonie, Maciej poprosił go o spowiedź. Jak mówił Maciej:

- Nie musiałem tak zdecydowanie korzystać z sakramentu pokuty właśnie w tamtej chwili. Tzn, nie miałem na sumieniu jakichś ciężkich grzechów. Ale coś mówiło mi: „poproś tego zakonnika o spowiedź”.

Po tym jak on mnie wyspowiadał, sam zwrócił się do mnie i mnie poprosił o spowiedź.

I jeszcze jedna wypowiedź brata, który ewangelizował w Stanach zjednoczonych. Siedząc gdzieś na jakimś przystanku kolejowym, na ławce wyjąłem brewiarz i zacząłem czytać modlitwy. Przeczytałem: **"Pan cię okryje swoimi piórami. Nie ulęknie się strachu nocnego"....**

I ja także zostałem poproszony o świadectwo. Mówiło wielu braci jeszcze. Nie wyrobiliśmy się na jednym spotkaniu. W późniejszym czasie odbyły się jeszcze dwa spotkania. Tak bracia chcieli słuchać.

Takie było zainteresowanie. A i tak nie udało się wszystkim opowiedzieć swojej historii. Najważniejsze, że ziarno zostało zasiane. Tam dla tych wszystkich, których spotkaliśmy w tych odległych miejscach. Omodleni zostali ci, których spotkaliśmy. Ale i ci których nie spotkaliśmy. Te miejsca, pola, miasta, wsie, fabryki, zakłady, pracy, szpitale, przedszkola. Omodleni zostali ci, którzy modlili się za nas tu na miejscu. To był wielki modlitewny szturm do nieba. To były działa wytoczone przeciwko siłom zła. Duchowym siłom zła. Ziarno zostało zasiane. I będzie dalej siane. Bracia opowiadali także znajomym, rodzinom, we wspólnotach. Ja opowiadałem także w swojej wspólnotce Neokatechumenalnej, we Wspólnocie Sychar. Opowiedziałem moim braciom z ekipy Projektu Źródło. Mówiłem także w czasie rekolekcji w projekcie Źródło. Opowiedziałem także mojej żonie.

Ty, który czytasz te słowa, nie trzymaj tego co przeczytałeś dla siebie. Daj tę opowieść twoim braciom i siostram. Mów o Bogu, rozmawiaj i opowiadaj. Pytaj. Mów Dobrą Nowinę. Niech słuchają. Wiara rodzi się ze słuchania. **"Kto ma uszy niechaj słuca".....**

#### **Ewangelia św. Łukasza            Przypowieść o siewcy**

**4 Gdy zebrał się wielki tłum i z miast przychodzili do Niego; rzekł w przypowieściach: 5 «Siewca wyszedł siać ziarno. A gdy siał, jedno padło na drogę i zostało podeptane, a ptaki powietrzne wydziobały je. 6 Inne padło na skałę i gdy wzeszło, uschło, bo nie miało wilgoci. 7 Inne znowu padło między ciernie, a ciernie razem z nim wyrosły i zagłuszyły je. 8 Inne w końcu padło na ziemię żyzną i gdy wzrosło, wydało plon stokrotny». Przy tych słowach wołał: «Kto ma uszy do słuchania, niechaj słuca!»**

#### **Cel i wyjaśnienie przypowieści**

**9 Wtedy pytali Go Jego uczniowie, co oznacza ta przypowieść. 10 On rzekł: «Wam dano poznać tajemnice królestwa Bożego, innym zaś w przypowieściach, aby patrząc nie widzieli i słuchając nie rozumieli»<sup>3</sup>.**

**11 Takie jest znaczenie przypowieści: Ziarnem jest słowo Boże. 12 Tymi na drodze są ci, którzy słuchają słowa; potem przychodzi diabeł i zabiera słowo z ich serca, żeby nie uwierzyli i nie byli zbawieni. 13 Na skałę pada u tych, którzy, gdy usłyszą, z radością przyjmują słowo, lecz nie mają korzenia: wierzą do czasu, a w chwili pokusy odstępują. 14 To, co padło między ciernie, oznacza tych, którzy słuchają słowa, lecz potem odchodzą i przez troski, bogactwa i przyjemności życia bywają zagłuszeni i nie wydają owocu. 15 W końcu ziarno w żyznej ziemi oznacza tych, którzy wysłuchawszy słowa sercem szlachetnym i dobrym, zatrzymują je i wydają owoc przez swą wytrwałość.**

#### **Zadanie uczniów**

**16 Nikt nie zapala lampy i nie przykrywa jej garncem ani nie stawia pod łóżkiem; lecz stawia na świeczniku, aby widzieli światło ci, którzy wchodzą. 17 Nie ma bowiem nic ukrytego, co by nie miało być ujawnione, ani nic tajemnego, co by nie było poznane i na jaw nie wyszło. 18 Uważajcie więc, jak słuchacie. Bo kto ma, temu będzie dane; a kto nie ma, temu zabiorą i to, co mu się wydaje, że ma».**

**(Łk 8,1-18)**

Lublin 19.07.2019